ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VII. Nr 19/307
LONDYN, 10 MAJA 1953 R.

MARIA WINOWSKA

TAJEMNICA BYTU

Stwierdzam, że j e s t e m: olśniewające odkrycie i jakżeż wyjątkowe! Zazwyczaj, dziś zwłaszcza, wyprawy odkrywcze w to, co mnie wyodrębnia i stanowi odmierzają się czasownikiem: m a m.

Mam talent i pieniądze. Mam charakter dobry lub zły. Mam albo nie mam szczęścia. Mam to, czego chcę, albo nie mam. A jeśli nie mam, staram się mieć. Za wszelką cenę. Tym bardziej, że wiem, iż wiele, bardzo wiele (czyżby wszystko?) da się zdobyć lub nabyć. Więc chcę mieć więcej, coraz więcej. Życie moje jest straganem, którego szyld melduje: m a m. I poniżej, drobniejszymi literami: „k t o d a w i ę c e j ?"

Otóż stała się rzecz niebywała. Pewnego pięknego dnia (rano to było, czy wieczór) zrozumiałem, że j e s t e m. Nie c z y m ś wymiennym, jak banknot, ale k i m ś. Niepowtarzalnym, niewymiennym, jedynym. Samotnym i tajemniczym. Odrębnym i wplecionym w ogromną grę. Chłonnym, lecz zdolnym asymilować tylko organicznie. Co więcej: najzupełniej niewspółmiernym z tym, co mam. Nie stanowi mnie to, co MAM, ale to, czym JESTEM.

Kopernikowe odkrycie, wekslujące nasz stosunek do rzeczywistości o 180 stopni! Trudne, bardzo trudne w epoce, urzeczonej kategoriami kwantytatywnymi! Gdyż czymże jest przeskok z „MAM" w „JESTEM", jak nie odkryciem JAKOŚCI?

Gdybyśmy szukali definicji dla epoki, w której żyjemy, doszlibyśmy niewątpliwie do wniosku, że jest to epoka, w której triumfy święci ILOŚĆ. Epoka nasza jest epoką techniki, wiemy zaś, że jeśli nauki ścisłe coraz to muszą odprawiać egzorcyzmy nad widmem jakościowych kategorii, które czyhają za każdym węgłem bytu, technika nic o nich wiedzieć nie chce i wiedzieć nie może, jeśli chce być sobą: po prostu techniką. Wielki matematyk wie, że żongluje tajemnicami i że między formułą, prawem, zasadą a konkretnymi zjawiskami istnieje zawsze subtelna, głęboka, nieprzezwyciężalna czeluść, „limes" nie do przebycia. Ale technik gwiżdże na uczonych, wystarcza mu formuła, która bardziej lub mniej szczęśliwie kiełzna siły przyrody. Nie chodzi mu o t a j e m n i c e bytu, ale o e k s p l o a t a c j ę bytu. Nie podchodzi doń od wewnątrz, ale od zewnątrz. Nie z owym zdziwieniem zbożnym („awe"), które wyzwoliło ongiś filozoficzną myśl, ale UTYLITARNIE. Nie to go obchodzi, czym dane zjawisko JEST, ale co mu DA. Jakość nie jest mu na rękę; komplikuje kalkulacje: wszak cała rzecz w tym, żeby sprowadzić to, co jest, do jak najprostszego mianownika; ł ą c z n i e z c z ł o w i e k i e m.

Nigdy w historii ILOŚĆ nie święciła bardziej zawrotnych triumfów kosztem JAKOŚCI. Ta jest tragiczna wina naszej epoki techniki. Nie przeto, jakoby technika była zła. Ale dlatego, że uzurpuje sobie miejsce, które się jej nie należy. Że rości sobie pretensje do wiedzy uniwersalnej. Że wkracza w dziedziny, które z natury są jej obce Że chce sprawować dyktaturę. Nie tylko nad materią, która jest jej naturalnym warsztatem, ale również nad człowiekiem, który jest więcej, niż materią. Technika redukuje człowieka do kategorii ilościowych, zgłaszając wobec jego istności duchowej całkowite desinteressement. A więc nawet go nie zwalcza: po prostu POMIJA. Żyjemy, pracujemy, myślimy, tworzymy w atmosferze, w której hasłem-talizmanem jest „ILE". Materializm Marxa i kapitalizm amerykański są odmiennymi przejawami jednakiej choroby: degradacji kategorii jakościowych na kategorie ilościowe. Dla Forda i Stachanowa „człowiek" znaczy to samo: jest funkcją produkcji. Cóż ich obchodzi, czym Piotr lub Paweł JEST. Ważne to tylko, jaką MA wydajność. Gdyż ta wydajność da się przeliczyć na pieniądze. Mniejsza z tym, czy pieniądze te pójdą do kasy ogniotrwałej Forda kapitalisty, czy też na konto Partii. Grunt, żeby były. I dlatego na uwagę zasługuje tylko to, co da się „skonwertować" na bankowy czek. Reszta? Reszta w ogóle się nie liczy. Człowiek się nie liczy. Szacujemy go wedle tego, co DAJE. Gwiżdżemy na to, czym JEST. Właściwie w ogóle mógłby nie być, byle dawał, byle miał. Byt jest poniekąd nieproduktywnym luksusem, niekiedy przeszkodą, hamulcem. W fabryce zaczyna się dziać źle, gdy robotnik przypomni sobie, że w ogóle coś znaczy, że JEST: czymś więcej, jak funkcją produkcji. Gdy upomni się o swoje prawa do życia, do wytchnienia, do radości. Więc dają mu namiastki w formie rozrywek, które chronią go przemyślnie przed wszelkim sam na sam z własną duszą. Kino, sporty, wódka, „wyżycie się" seksualne — wszystkie narkotyki mogą go utrzymać w błogim półśnie, poza burtą niewysłowionej tajemnicy, która go stanowi. Rzecz w tym, aby zapomniał, lub w ogóle nigdy się nie dowiedział, że jest. I dlatego dajemy mu odtrutkę w koniugacji słowa „mieć". Iż zaś WSZYSTKO da się przeliczyć na pieniądze, więc cała rzecz w tym, aby miał pieniądze. Kupię za nie, czego dusza zapragnie: szczęście, miłość, spokój, radość...

Cicho, duszo moja: quare tristis es anima mea et quare conturbas me? Czemużeś smutna i czemu mnie nękasz? Czegoż więcej ci się zachciewa? Ptasiego mleka? Gwiazdki z nieba? Kwiatu paproci? Czemuż nie możesz się d o l i c z y ć samej siebie? Wszystko szło jak z płatka. Na giełdzie życia wołaliśmy, pewni swego: „kto da więcej?" Myśleliśmy, że wszystko da się sprzedać, kupić, wymienić na drobne. Marzyliśmy o tym, żeby MIEĆ: j a k n a j w i ę c e j. I oto stanął nam na drodze mur nie do przebycia. Odkryliśmy światy, w których na nic się zda to, c o mam, ż e mam. Miłości nie kupię (choć Wenus jest sprzedajna). Recepty na radość nie wymyślił dotąd nikt (jest czymś więcej jak euforią dobrego trawienia). Darmo szukam straganu, gdzie sprzedają pokój (to nie t r a k t a t pokojowy). Istnieje we mnie coś, co nie da się przeliczyć ani na pieniądze, ani na produkcję, ani na żadne, ilościowe kategorie. Coś, co jest innego porządku, innego wymiaru, co podlega innym prawom, nie da się „skonwertować". Miłość do drugiego człowieka nie tylko coś mi „daje" (jak monetę żebrakowi). Miłość do drugiego człowieka atakuje moją najwewnętrzniejszą istotę, budzi we mnie śpiące struny, jak dłoń artysty, muskająca lutnię. Jest we mnie, jest mną, co więcej, odsłania mi, że j e s t e m. Łączy mnie i wyodrębnia. Tym bardziej wyodrębnia, im bardziej łączy. Nigdy bardziej nie jestem sobą, jak wtedy gdym stał się cały darem miłości. Tracąc siebie, znajduję siebie, dając biorę: cóż to za handel niesłychany, urągający trzeźwym kalkulacjom? Jak tu przeprowadzić bilans strat i zysków?

Miłość jest afirmacją bytu, triumfem jakości. Ja ciebie nie kocham dlatego, że masz takie lub inne zalety. Ja ciebie kocham dlatego, ż e t y j e s t e ś t y. Nie za to, co masz, ale dlatego, że jesteś. I że, będąc, odkrywasz mnie samemu sobie.

Wiem, że ciebie nie kupię. A choćbym kupił, nie będziesz to ty. Twoje ciało, to nie ty. Nie zdobędę ciebie tym, co mam. Zdobędę ciebie tylko tym, że jestem. Ja — i ty.

„Choćby kto wszystką majętność swoją dał za miłość — mówi Pieśń nad Pieśniami — za nic ją sobie ma".

Miłość do drugiego człowieka jest często, jak wyłom otwierający wylot na miłość do Tego, który jest absolutnym Ty.

Bóg nie widzi we mnie cyfry, w ogromnej sumie. Bóg nie stworzył mnie jako artykułu seryjnego. Nie jestem „produkcją", ale stworzeniem: olśniewająco nowym, oryginalnym, niezastąpionym, niepowtarzalnym i tak koniecznym, że moje unicestwienie wywołałoby chaos we wszechświecie. Nie jestem numerem. Mam „imię" i to „nowe", którego tajemnicę zazdrośnie zawarował sobie Bóg. Jestem „kimś". Jestem wolny. Nie „zgubiony we wszechświecie", ale jak aktor w olbrzymim teatrze, z zawierzoną sobie, wielką lub małą, ale niezbędną rolą. Jeżeli zawiodę — nie zastąpi mnie nikt.

Ani do Boga, ani do drugiego człowieka nie trafię „od zewnątrz". Daremnie chciałbym „posiąść", co może być tylko „komunią". Żądza posiadania jest tragiczną degradacją bytu. Skąpiec to człowiek, który bez przerwy przelicza jakość na ilość. „Idolorum servitus", mówi święty Paweł: skąpstwo to BAŁWOCHWALSTWO. Iż zaś „mieć" i „być" to dwa plany niewspółmierne, niewymienne, posiadane dobra zwiększają tylko głód, daremnie zaspakajany coraz to nowymi zdobyczami: dusza ludzka, głodna dusza ludzka nie da się zakłamać! Jeśli nie inaczej, świadczy swym niedosytem.

Nigdy bardziej, niż dziś, nie mówiło się o wspólnocie, o jedności, nigdy nie szukało się zachłanniej drogi do wymarzonego raju.

Wspólnota, jedność to komunia albo mit. To, co łączy, musi łączyć od wewnątrz, albo miast łączyć, dzieli. Tragedią naszej epoki, epoki techniki, urzeczonej kategoriami kwantytatywnymi, jest złudzenie, że jedność da się sfabrykować, wyprodukować, zorganizować, narzucić. Łatwiej utkać lity pas z promieni świetlnych! Bardziej konsekwentne są systemy totalne, które na to, by stworzyć masy, wyniszczają jednostkę. Człowieka można tak zakłamać, tak oszołomić, tak zmechanizować, że w końcu nie pamięta, iż j e s t i posłusznie wchodzi w serię i już tylko „ma" lub „nie ma". Ale nawet wtedy dusza grozi przebudzeniem. Wystarczy, aby pewnego pięknego dnia Staszek odkrył „swoją" dziewczynę i powiedział sobie w duchu: „ta, nie inna"... Staszek nie jest filozofem i nie wie, że radość, która w nim wzbiera, jest radością człowieka, który wyrwał się z więzienia. Najprostsza, ludzka miłość, o ile jest miłością, jest skokiem karkołomnym („salto mortale") z ilości w jakość, z żądzy posiadania w radość komunii. I dlatego właśnie tak wielu dziś nie stać na miłość, bo nie stać ich na to, by po prostu BYĆ: s o b ą, nie cyfrą lub pionkiem.

Miłość jest najgroźniejszym wrogiem systemów totalnych; najgorszym wrogiem. Ujednia, lecz nie utożsamia, łączy i różnicuje, idzie wszerz — i w głąb. Na to, by zjednoczyć człowieka z drugim człowiekiem, apeluje do tego, co w nim jak najbardziej osobiste i najgłębsze, do jego tajemniczej jakości, do tego, czym j e s t: „ta, nie inna", „ten, nie inny".

W epokach hołdujących ilości trudno, bardzo trudno zdobyć się na zwykłą ludzką, niesfałszowaną, nie nadużywającą własnego imienia miłość. I tu następuje degradacja, plenią się namiastki. Don Juanowi trzeba więcej, coraz więcej kobiet, bo nie ukochał jednej. Potrzeba mu coraz nowych przygód, coraz nowych sensacji, bo nie stać go na tę przygodę zawrotną, jaką jest miłość, tym bogatsza, że po prostu JEST.

I tu docieramy do jednego z najbardziej charakterystycznych aspektów „tajemnicy nieprawości": grzech jest zawsze pewną formą degradacji bytu, abdykacją z jakości na rzecz ilości, przelicytowaniem „jest" na „ma". Mniejsza z tym, c z y jestem, byle bym MIAŁ. Czymże jest grzech pierworodny, jak nie próbą skonwertowania tego, co było przywilejem ontologicznym, na zdobycz i łup? Prometeusz kradnie ogień z nieba, który i tak mu płonął w duszy. „Będziecie jako bogowie" mówi wąż. „Biedni ludzie — myśli Bóg — biedni, głupi ludzie: czyż nie widzą że chcę ich przebóstwić? Czemuż kradną to, co chcę im dać? Czyż Syn Mój nie powiedział im wyraźnie: „ogień przyszedłem spuścić na ziemię, i cóż chcę, jeno żeby był zapalon?" Wszystkie ich marzenia o wielkości nie dadzą się przyrównać z tym, co Jam od początku dla nich wymyślił. Toż Ja, właśnie Ja chcę, żeby byli jako bogowie. Mój Syn stał się człowiekiem, by człowiek stał się bogiem, nie mocą własnej pychy, ale miłościwym przywilejem Łaski..."

Grzesznik sprzedaje to, czym jest, za coś, co chce mieć: jak prawo pierworództwa za misę soczewicy. To, co mam, da się przeliczyć, odmierzyć, zamknąć w kasie ogniotrwałej, przenieść na bankowe konto, wymienić na pieniądz. Cóż bowiem warte to, że jestem, jeśli nic mi nie DAJE? Gdy jestem głodny, gwiżdżę na prawo pierworództwa i cenię sobie o wiele więcej misę soczewicy... Po cóż mam marzyć o miłości, gdy mogę mieć kobiet, ile chcę? Mówisz mi o radości, jaką daje wnikanie w tajemnicę bytu? Ja, bracie, chcę mieć dyplom i dobrą posadę, ni więcej, ni mniej. „Grunt, to pieniądz", bo za pieniądz WSZYSTKO KUPIĘ.

To nie satyra. Ostatnie zdanie słyszałam onegdaj z ust t. zw. „porządnego" człowieka i praktykującego katolika, odgrywającego rolę „społeczną".

„Grunt, to pieniądz..."

Degradacja jakości w ilość...

Świat stał się beznadziejnie płaski, bez wymiaru w głąb, jak stół przekupniów frymarczących wszystkim bez wyjątku, nawet świętościami. Człowiek jest tyle wart, ile m a. „How much is he worth?" — pyta Amerykanin. Naiwny, nieobeznany z arkanami języka Europejczyk gotów by przetłumaczyć: „co jest wart?" Nie, bracie, tu chodzi tylko i wyłącznie o konto bankowe. Wartość pana X. przelicza się najdokładniej na dolary. Jeżeli nie masz dolarów, niceś nie wart.

To nie szykany językowe. Chodzi mi o atmosferę, w której żyjemy wszyscy. Nigdy brutalniej nie ciążyła nad światem zmora kategorii kwantytatywnych. Nigdy materializm nie panoszył się bezwstydniej pod różnymi, nieraz wrogimi ideowo sloganami i barwami. Jeśli nie mam, chcę mieć. Jeśli mam, chcę mieć więcej. Marksista i amerykański kapitalista w gruncie rzeczy mają jeden ideał: różnią się tylko metody. To czym JESTEM nie obchodzi ani jednego, ani drugiego. Mam być funkcją produkcji i kropka. A w nagrodę obiecują mi, że mnie coś się za to dostanie, że i ja będę „miał": więcej, coraz więcej. Nawet przyszły raj jest na miarę aspiracji współczesnego człowieka: będziemy tam wszyscy nuworyszami...

Epoka nasza poszła dalej, niż inne, w gloryfikacji wartości materialnych, wymiennych, ale choroba jest tak stara, jak człowiek lub ściślej mówiąc jak grzech. Przeliczanie jakości na ilość jest stałą pokusą nieraz tak subtelnie zamaskowaną, że trudno ją rozpoznać. I w tej dopiero perspektywie zaczynamy rozumieć pasję, z jaką święci ukochali ubóstwo. Nie tyle samo w sobie, ile jako protest przeciw wszelkim formom bałwochwalstwa, które w najgłębszej swej istocie jest zawsze degradacją bytu, dewaluacją jakości.

Bóg JEST i to Mu wystarcza. Bóg jest „TYM, KTÓRY JEST", a więc Bóg nie ma NIC. Przedziwny paradoks, wyrażający najściślej teologiczną prawdę, że w Bogu JEST i MA to jedno: existentia=essentia, byt równa się istocie.

Nie taka jest kondycja stworzeń, dobytych z nicości, których byt jest darem, a więc czymś, co nigdy nie może pretendować do samoistnej autonomii. Jestem, gdyż Bóg powiedział: BĄDŹ. Ale choć nie mam autonomii, jestem wolny. Istnienie zostało mi dane nie jako kształt sprecyzowany, lecz jako talent, który mogę rozmnożyć lub zakopać w ziemi, jako ziarno, które ma uschnąć lub dać plon stokrotny, jako o d p o w i e d z i a l n o ś ć. „Omnia tendunt assimilari Deo", mówi św. Augustyn. Cały wszechświat,ześrodkowany w człowieku, tym mikrokosmosie, zmierza do Boga stromym marszem, stara się upodobnić do Boga. Wizerunek, który noszę w duszy, to apel i powołanie. Co było darem darmo danym, musi stać się nagrodą wolności. Nad moją kołyską dźwięczały słowa Pindara: „Stań się, czym jesteś": podobnym Bogu, usynowionym, uczestnikiem życia Bożego.

Zindywidualizowała mnie materia, lecz uosobi Łaska zaślubiona mej wolności. Muszę stać się własnym łupem, b y ć coraz pełniej, w sojuszu z Tym, KTÓRY JEDEN JEST i nazwał mnie po imieniu. Nie mogę nic bez Niego, lecz i On beze mnie jest, śmiem rzec, bezsilny: wolnością moją sam, niejako, związał sobie ręce. Czemuż te zastrzeżenia? Gdyż wszechmoc Jego jest w samym sercu mojej wolności, gdyż nawet wtedy, gdy powstaję przeciw Niemu, nadużywam mocy, która z Niego jest.

Bóg jest i ja jestem, choć nie jednako. Bóg sam przez się, ja z Boga. Na obraz i podobieństwo Boże. Mogę splugawić ten wizerunek, wykrzywić, zasnuć sadzą — lub sprzymierzyć wolność i rozum, by go uwypuklić. W ostatecznej instancji nie to jest ważne, co mam, ale to, że jestem. A jeśli mogę „być" głębiej, pełniej, podobniej za cenę wszystkiego, co mam, z jakąż radością wyrzeknę się t. zw. „dóbr doczesnych", odrzucając je precz gestem błog. Salomei z witrażu Wyspiańskiego! Święty, to nie abnegat, lecz najtrzeźwiejszy kalkulator, umiejący rozeznać wśród szychu perłę bezcenną, która dyskontuje się wiecznością. Stawia na dalszą, pewniejszą metę, niż kapitalista i zamiast „być" na „mieć", konwertuje „mieć" na „być": „jest" tym pełniej, im mniej „ma".

Bóg JEST, nie ma NIC. Ubóstwo jest niejako na linii obyczajów Bożych. Nie dziw, że wówczas, gdy zaangażował się w człowieczeństwo, wybrał kondycję najuboższą! Wszechświat jest Mu pieśnią chwały, lecz On wystarcza Sam Sobie. Jakiż majestat dorówna glorii, którą opromienia Chrystusa unia hypostatyczna? Człowieczeństwo Jego nazbyt zaznało Boga, by się nie utożsamić z Jego Bytem!

W ślad za Nim święci, ci „szaleńcy Boży" zaślubiają „Panią Biedę" nie dlatego, jakoby sama przez się była im miła, ale przeto, że toruje im drogę, wyzwala z balastu, odsłania bezmiar istotnych wartości: że uczy ich „być" kosztem „mieć", na wzór i podobieństwo „ubogiego Jezusa"; na wzór i podobieństwo Boga Trójjedynego, któremu wystarcza, iż JEST. W tej perspektywie wyrzeczenie traci aspekt negatywny, jest tylko szczeblem. Święty nie rozumuje, nie wytacza uczonych argumentów, ale wie mądrością Ducha Świętego, że Chrystus tym bardziej będzie w nim żył, im bardziej będzie mu wszystkim; że „wstręt do próżni" obowiązuje w równej mierze w sferze duchowej, jak w sferze fizycznej i że wyrzeczenie doczesnych dóbr żłobi w nim światy Bogu pojemne. Są różni święci, lecz wszystkich łączy jednakie umiłowanie ubóstwa jako zasady fundamentalnej tej konwersji walorów, jaką jest życie doskonałe, poddające sferze ducha, sferze bytu, sferze jakości to wszystko, co w nas materialne, kwantytatywne, żądne posiadania.

„Szczęśliwy człowiek — mówi Eklezjasta — który znalezion jest bez skazy i na złoto nie polował, w pieniądzach i skarbach nadziei nie pokładał. Kędyż jest, byśmy go sławili? Gdyż cuda zdziałał za życia..."

To, co święty realizuje w pełni, jest tesknotą, przeczuciem i próbą we wszystkich ludziach dobrej woli, dla których życie jest czymś więcej, niż targowiskiem i giełdą. Ktokolwiek jął się wspinaczki, choćby podgórskiej, wie, że każdy krok kosztuje. Alpinista nie

(Dokończenie na str. 4)

SED CONTRA

KINSEY

Pięć lat już upłynęło z górą od czasu wydania pierwszego tomu t.zw. ankiety profesora Alfreda Kinseya; ponieważ jednak autor zamierza ogłaszać dalsze tomy, nie od rzeczy będzie może porobić parę uwag na temat tej monumentalnej pracy. Wiem wprawdzie, że pisać na ten drażliwy temat jest niebezpiecznie, ale, ostatecznie, bojowaniem jest żywot człowieczy i czasem wypada powiedzieć rzeczy tego rodzaju.

Zacznę jednak od przyjemnych, to jest od powszechnie w kołach katolickich przyjętych. A więc stwierdzam po pierwsze, że prof. Kinsey i jego współpracownicy (współautorowie pierwszego tomu) są ludźmi nie tylko niewierzącymi, ale nawet dość na religię ślepymi. Potrafią o niej wyrażać się jak dziewiętnastowieczni obskuranci. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Nie można też powątpiewać w szkodliwość dzieła, sprzedawanego we Francji zeszytami i tanio na każdym rogu ulicy — że mianowicie dostawszy się do rąk niedorostków obojga płci będzie pełniło funkcje literatury pornograficznej. Bardzo nad tym ubolewam. Ale cóż? Człowiek mieszkający we Francji ma tyle „materiału" tego typu w prasie, radiu, książkach, kinie i t.d., że naprawdę dziwiłbym się, gdyby aż profesora Kinseya musiał używać do podniecania chorej wyobraźni. Bo trzeba w imię prawdy stwierdzić, że jego dzieło z pornografią nie ma naprawdę nic wspólnego: jest pracą naukową.

Te dwa zarzuty przeciw książce są raczej powierzchowne. Ważniejszy jest trzeci. Autor jest biologiem, a żaden z jego pięciu współpracowników nie jest, o ile mogę się zorientować, psychologiem. Stąd, już a priori, bardzo niebezpieczna sytuacja: pisać o zjawiskach tak głęboko sięgających w ludzką psychikę, nie mając żadnego psychologicznego wykształcenia jest, oczywiście, rzeczą niedobrą: głupstwo się łatwo znaleźć może. Myślę, w każdym razie, że książka wypadłaby zupełnie inaczej, gdyby prof. Kinsey był pomyślał o zaproszeniu jakiegoś psychologa do współpracy. Cóż? *deformation professionelle:* nasz biolog pewnie nie wierzy w ogóle w istnienie czegoś takiego, jak introspekcyjna psychologia. Dodam jeszcze, że szereg moich (niewierzących) znajomych filozofów wyrażało wobec mnie poważne powątpiewania co do poprawności użytej metody, selekcji i t.d.

Streściłem więc uczciwie zarzuty, jakie się stawia i jakie stawiać należy książce. Ale streściwszy je powiem, że wywarła ona na mnie wielkie wrażenie przez wnioski, których co prawda profesor Kinsey sam nie wyciągnął, ale które narzucają się każdemu czytelnikowi umiejącemu patrzeć na zebrany przez niego materiał oczyma filozofa. Nie waham się twierdzić, że dzięki tym wnioskom książka ma ogromne znaczenie, jest czymś, czego naprawdę nie wolno nikomu interesującemu się człowiekiem ignorować i z czego wszyscy powinniśmy wyciągnąć konsekwencje. Myślę przede wszystkim o moralistach.

Pierwszy wniosek brzmi: życie płciowe „samca męskiego w Ameryce" — a można na tej podstawie chyba powiedzieć ogólniej: człowieka — zależy w ogromnym, nieprawdopodobnym wprost stopniu od czynników *duchowych*. Co prawda statystyki Kinseya wykazują, że religia ma stosunkowo niewielki wpływ na to życie — ale za to najzupełniej decydująco wpływają na nie, na przykład, wykształcenie i środowisko społeczne. Jest to, moim zdaniem, wniosek kapitalnej wagi, tym większej, że pochodzi od człowieka, który bodaj w istnienie ducha w ogóle nie wierzy. Masa Kinseyowych analiz wzmacnia starą a przez niektórych zapomnianą tezę o jedności człowieka i nonsensie patrzenia na niego wyłącznie jako na ciało.

A drugi wniosek, może mniej ważny, ale chyba praktycznie także doniosły jest taki: potrzeby seksualne wahają się w nieprawdopodobnie szerokich granicach. Muszę przyznać, że czytając odnośne statystyki byłem najzupełniej zaskoczony: takiej rozbieżności nie domyślałem się nawet w przybliżeniu. Wniosek jest jasny: osąd moralny przekroczeń seksualnych musi być w świetle tych danych znacznie bardziej zróżnicowany, niż nim był dotąd u większości moralistów chrześcijańskich.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: kto wierzy w prawdę swojego moralnego stanowiska, nie ma potrzeby obawiać się faktów. Fakty nie mogą nigdy przeczyć normom moralnym. A jeżeli o tę książkę chodzi, zebrane w niej fakty nie tylko im nie przeczą, ale mogą stanowić podstawę do lepszego ich zrozumienia.

I.M.B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Konsekracja bazyliki w Lisieux. Konsekrację bazyliki poświęconej św. Teresie od Dzieciątka Jezus w Lisieux ustalono ostatecznie na niedzielę 11 lipca 1954. Przy tej sposobności odbędą się wielkie manifestacje ku czci umiłowanej przez tylu ludzi Świętej.

Obrzęd koronacyjny. Stowarzyszenie „The Guild of Our Lady of Ransom" urządziło w kwietniu serię czterech odczytów na temat „Kościół i Korona: idea chrześcijańska królestwa zobrazowana przez obrzęd koronacji". Konferencje odbywały się w kościele Wniebowzięcia Matki Boskiej przy Warwick St., London, W. 1.

Ilość duchowieństwa na kuli ziemskiej. O. Herman Fisher wydał w Rzymie książeczkę o duchowieństwie w różnych częściach świata. Z dokładnego zestawienia ilości duchowieństwa w różnych krajach wynika, że Europa jest pod tym względem na czołowym miejscu. W Anglii przypada 1 kapłan na 308 katolików, w Portugalii 1 na 569, w Irlandii 1 na 607, w Holandii 1 na 694, w Belgii 1 na 727, w Italii 1 na 804, w Niemczech i Hiszpanii 1 na 945, w Austrii 1 na 1.057, we Francji 1 na 2.000. W różnych krajach Ameryki południowej 1 ksiądz obsługuje 8.987 dusz. W Afryce zachodniej 1 ksiądz przypada na 2.231 katolików, a na obszarze swego duszpasterstwa ma 58.438 nie-katolików, nad których nawróceniem powinien pracować. W Afryce środkowej 1 ksiądz przypada na 2.892 katolików i 12.702 pogan, w południowej na 804 katolików i 15.289 nie-katolików; w Australii 1 na 839 katolików i 23.980 nie-katolików.

Fatima w Egipcie. Zarówno chrześcijanie jak i muzułmanie w Egipcie oczekują z niecierpliwością ukończenia budowy sanktuarium poświęconego Matce Boskiej Fatimskiej. Sanktuarium zawdzięcza swe powstanie ks. Emanuelowi Rassamowi, wikariuszowi generalnemu katolickiego chaldejskiego patriarchatu w Kairo i położone jest o 2 km od „drzewa Dziewicy" w Matarieh, gdzie według tradycji Najświętsza Rodzina zatrzymała się w czasie ucieczki do Egiptu. Jak stwierdza projektodawca, ks. wikariusz generalny Rassam, sanktuarium budowane we wspaniałym miejscu, panującym nad Heliopolis, powstaje jakby cudownie — bogate dary napływają zewsząd.

Dyktator Egiptu nosi medalik Matki Boskiej Fatimskiej. Generał Ahmad Neguib przewodniczył w grudniu ub. r. zebraniu w gabinecie meteorologicznym. Gdy wyjmował coś z kieszeni, drobny medalik wypadł na podłogę. Generał podniósł go i powiedział do zebranych: „To jest medalik Dziewicy Fatimskiej, który mi dano w czasie wojny żydowskiej w Palestynie. Od tego czasu noszę go stale i uważam go za zapewnienie szczęścia."

Kardynał Camillo. Rywalizacja komunistycznego burmistrza Bolonii, Giuseppe Dozza, z kardynałem Lercaro, arcybiskupem Bolonii, spowodowało „Time" do porównania arcybiskupa z Don Camillo. Jedną z takich rywalizacji jest sprawa oszczędności przy kampanii wyborczej. Kardynał Lercaro zaapelował do wszystkich partyj politycznych w Bolonii, by wykazały więcej umiarkowania w kampanii afiszowej z okazji nadchodzących wyborów powszechnych w dniu 7 czerwca. Byłoby lepiej — stwierdzał kardynał — by pieniądze obrócono, zamiast na propagandę wyborczą, na cele charytatywne. W odpowiedzi na apel liberali ogłosili, że połowę pieniędzy przeznaczonych na kampanię wyborczą użyją na poparcie dobrych celów. Burmistrz miasta, nie wspominając o apelu kardynała, zwrócił się do Włochów wszystkich partyj politycznych z apelem ograniczenia wydatków na cele polityczne, zaznaczając, że to dobrowolne ograniczenie wydatków winno być przeprowadzone nie tylko w Bolonii, lecz w całej Italii.

Stulecie francuskiego seminarium duchownego w Rzymie. 14 kwietnia duchowne seminarium francuskie w Rzymie obchodziło stulecie swego istnienia. Zostało ono otwarte na żądanie Piusa IX przez sługę Bożego Libermanna i prowadzone przez ojców zgromadzenia Ducha Świętego wykształciło wielu księży i późniejszych biskupów francuskich.

Pierwszy biskup rodzimy na Haiti. Mianowany biskupem tytularnym Turuzi i pomocniczym mons. Le Gouaze, arcybiskupa Port-au-Prince na Haiti, ks. Rémy Augustin jest, jako urodzony w Pétionville na Haiti, pierwszym biskupem rodzimym w tejże republice. Obszar republiki podzielony jest na 1 metropolię i 4 biskupstwa. Na 3.130.000 mieszkańców jest 2.419.500 katolików.

Dar Ojca św. dla Polskiego Instytutu. Polski Instytut Historyczny w Rzymie otrzymał od Papieża Piusa XII w darze 500 tysięcy lirów na swe potrzeby i wydawnictwa. Jak wiadomo, Instytut przygotowuje prace w związku z nadchodzącym tysiącleciem polskiej historii i przyjęcia wiary katolickiej.

Walny Zjazd Mężów Katolickich w Belgii. W Brukseli odbył się Walny Zjazd Mężów Katolickich z Belgii, przy udziale 52 osób. Po części organizacyjnej, w czasie której dokonano wyborów nowego zarządu, uchwalono 500 fr. belg. na szkoły polskie w Belgii oraz protest przeciw prześladowaniu Kościoła w Polsce; odczytano także uchwałę PPS z ostatniego zebrania, atakującą duchowieństwo i polskie organizacje katolickie w Belgii.

Nowi biskupi rodzimi. Trzech Hindusów, mianowanych biskupami w Indiach, otrzymało sakrę biskupią z rąk mons. Mathiasa, arcybiskupa Madrasu. Uroczystość odbyła się na stadionie w Madras, w obecności 100 tysięcy osób, wśród których było wielu nie-katolików.

KS. MARCIN WOJCIECHOWSKI

MĘCZEŃSTWO NAZARETANEK W NOWOGRÓDKU

Było to 31 lipca 1943 roku w Nowogródku. O godzinie 8.30 wieczorem ciężarówka niemiecka, dobrze znana mieszkańcom, wyruszyła z Gebietskomisariatu za miasto w kierunku Nowojelni. Gdzieś na trzecim kilometrze za miastem przystanęła naprzeciw wzgórza porosłego z rzadka drzewami, z przygotowanym już dołem. Opodal znajdowała się chata, w której mieszkały dwie kobiety. Niemcy wysiedli z wozu i skierowali się ku wzgórzu. Do uszu nadsłuchujących z ukrycia wieśniaczek dochodziły z wozu miękkie głosy kobiece. Niemcy powrócili i po chwili namysłu zawrócili z powrotem do miasta. Dlaczego to się stało, trudno wiedzieć. Czy były jakieś przeszkody, a może pora dość wczesna i ruch właściwy godzinie przedwieczornej na wsi przeszkadzał? Uwaga mieszkańców chaty była zaostrzona. Nie wiedzieli, kto był w wozie, ale nie ulegało żadnej wątpliwości, że skazańcy.

Po godz. 3 po północy ukazał się znowu wóz z ludźmi trzymającymi łopaty — a więc grabarze — a za nim ten sam co wczoraj wóz ze skazańcami. Nie zatrzymali się jednak na tym miejscu, ale podążyli dalej, aż za Batorówkę. W okolicznych osiedlach słyszany był odgłos strzałów. Wkrótce potem wozy wracały z lasu. Jeden z nich był pusty.

W tę właśnie noc w lesie Nowojelskim dokonała się zbrodnia i gloria męczeńska, w której 11 Sióstr Nazaretanek oddało Bogu w ofierze swe życie.

Nazajutrz społeczeństwo miejscowe, które nie mogło jeszcze wiedzieć o zbrodni, jakby w przeczuciu jakiejś złej wieści, przyszło do kościoła farnego (był to kościół sióstr) tłumniej, niż zwykle. Było to 1 sierpnia, niedziela, niedziela krwawa. Klęczniki sióstr były puste.

Niemcy usiłowali ukryć egzekucję, której dokonali pod osłoną nocy. Rozpuszczali fantastyczne wieści na temat zniknięcia sióstr. Jedyny świadek, jaki się tam widocznie znalazł, okoliczny mieszkaniec, został później odkopany we wspólnym grobie siostrzanym.

Terror, jaki wówczas szalał, przeszkadzał wprawdzie wszcząć bezpośrednie poszukiwania, nie odebrał jednak społeczeństwu woli ustalenia, co się stało z siostrami. I znowu te same kobiety spod lasu udały się na poszukiwanie grobu sióstr. Odnalazły go. Po prawej stronie widniały jeszcze plamy krwi. Oznaczyły to miejsce, ale pewności jednak mieć było nie można.

Mimo wszystkich zabiegów, dokonana zbrodnia nie mogła pozostać długo w ukryciu. Ktoś tam znalazł na drodze do lasu obrazki, które do sióstr należały. Na rynku ukazał się w sprzedaży welon zakonny. Zniknięcie sióstr zaniepokoiło całe społeczeństwo Nowogródka.

Po 5 dopiero tygodniach S. Małgorzata, która jedna jedyna pozostała przypadkiem przy życiu, w towarzystwie owych kobiet udała się do lasu w celu odszukania grobu sióstr. Wobec różnych sprzecznych wieści chciała zdobyć pewność o ich śmierci. Towarzyszki stanęły na czatach, a ona kopała ręczną łopatką, aż na głębokości ramienia znalazła ciało. Natrafiła na zgiętą w kolanie nogę. Nie chciały zostawać tam dłużej, bo silny odór rozchodził się po lesie. Siostra szarpnęła silnie i oderwała kawałek pończochy trupa. Znalazła na nim imię jednej z sióstr. Oznaczyły grób i opuściły las pod głębokim wrażeniem. Po paru tygodniach siostra znowu powróciła. Na polance przybyły nowe groby. Musiała wobec zmiany sytuacji na nowo szukać i przy kopaniu natrafiła na bucik innej siostry z zaczepionym o niego krajem habitu. Po tym wszystkim była już niezbita pewność, że w lesie Nowojelskim znajduje się wspólna mogiła sióstr nazaretanek. Na bliższe zapoznanie się z tajemnicą nie było warunków, trzeba było czekać, aż stosunki się zmienią.

Ekshumacja zwłok, której dokonano po ucieczce Niemców, w marcu 1945 roku, ujawniła potworną prawdę o zbrodni, jaka dokonała się owej krwawej niedzieli, 1 sierpnia 1943 roku. Mogiła sióstr była niewielka, rozmiarów około 2 × 4 metry. Ciała były porozrzucane w różnych kierunkach, wszystkie welony zdjęte z głów i zawieszone na ręku. Strzały były skierowane w tył czaszki, dlatego niektóre siostry miały twarze zdeformowane, a nawet zniesione wylotem kuli. Na samym dnie grobu znajdowała się S. Stella, przełożona — widać pierwsza była zastrzelona. Leżała prosto jak w trumnie, ze złożonymi pod peleryną rękoma. Dwie inne równolegle do niej, ale głowami w odwrotnym kierunku. Wyższe rzędy leżały w poprzek, przeplatane ze sobą. Prawie wszystkie ręce złożone były na piersi i nieco w górę wzniesione. Budzi się pytanie, czy po masakrze niektóre siostry jeszcze żyły.

Przejmujący był wygląd S. Kanuty, w postawie wpół klęczącej, skulonej i modlitewnej, jakby płaczącej nad sklębionymi pod nią ciałami. I znowu pytanie: czy ona zwlekła się ranna i tak zastygła, czy też została żywcem zakopana?

Nowojelski lasek stał się drugim Katyniem. Tamten pod Smoleńskiem różnił się rozmiarami, ale nie ma różnicy w natężeniu zbrodni. Tu i tam złość była racją sprawczą, tu i tam mordowano ofiary, a może spychano żywcem do dołów, tu i tam ofiary były niewinne i składały swe życie w imię wielkiej sprawy.

Wspólna mogiła sióstr nazaretanek w lesie Nowojelskim poza swoją grozą miała w sobie coś wielkiego, z wielkości nie z tego świata. Złożone ich, zastygłe i wzniesione ręce, czyż nie mogą przywodzić na myśl, że w momencie skonu, oznaczone stygmatem męczeństwa, żyły one wizją umęczonego Baranka?

Rodzi się pytanie natury zasadniczej, czy śmierć sióstr z Nowogródka była śmiercią męczeńską za wiarę? Głos ostateczny w tej sprawie będzie należał do Stolicy Apostolskiej, która jedyna ma prawo wydać orzeczenie w materii, która należy do dziedziny wiary i moralności. W niczym nie przesądzając decyzji Kościoła św., możemy usiłować rozważyć te elementy, które stanowią o męczeństwie w ogóle, a ze sprawy sióstr wydobyć te znowu, które stały się przyczyną sprawczą i ostateczną ich śmierci.



Według św. Tomasza z Akwinu, męczeństwo spomiędzy wszystkich innych aktów cnót najbardziej wykazuje doskonałość miłości, w myśl słów Zbawiciela: „Większej nad tę miłości nikt nie ma, aby duszę swą położył za przyjaciół swoich". (Jan 15, 13; S. Th. 2 2ae, q. 124, a. 3, c).

Aby kogoś można było nazwać męczennikiem Chrystusowym, trzeba, aby on był świadkiem prawdy, którą nam dał Chrystus. Stąd też przyczyną sprawczą męczeństwa jest prawda wiary. Nie można tego jednak rozumieć w znaczeniu ograniczonym do słownego tylko wyznania wiary. Do prawd wiary należą też wszystkie dzieła cnót, które odnoszą się do Boga i przez które dokonuje się świadectwo o wierze, podanej nam przez Boga (S. Th. tamże, a. 5, c.; „Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości" — Mat. 5, 10), co należy do męczeństwa, jak mówi Glossa i św. Hieronim. A do sprawiedliwości należy nie tylko wiara, ale i wszystkie inne cnoty. A zatem wszystkie cnoty mogą stać się przyczyną sprawczą męczeństwa. Dlatego też św. Tomasz mówi, że św. Jan Chrzciciel jest męczennikiem, jakkolwiek zginął nie za wyznanie wiary, ale za to, że zganił cudzołóstwo. Św. Tomasz z Canterbury, dodaje komentator, jest męczennikiem, jakkolwiek poniósł śmierć w obronie jurysdykcji kościelnej (S. Th. tamże).

A teraz spojrzyjmy w świetle nauki św. Tomasza na sprawę śmierci sióstr nazaretanek. Czy śmierć ich można w sensie teologicznym zakwalifikować do aktów męczeństwa? Nie sam tylko moment śmierci można brać pod uwagę, ale i okres, jaki go poprzedzał, ponieważ może się on stać komentarzem pierwszego, a nieraz można dojrzeć, że akty poprzednie wirtualnie zawierają się w męczeństwie.

Jeśli spojrzymy na poprzedni okres życia sióstr, to zauważymy u niektórych, że już nad samym ich powołaniem przesunął się jakby cień męczeństwa. S. Kanuta, właśnie ta, która odkopana była w grobie w postawie klęczącej, nie myślała o wstąpieniu do klasztoru. Miała wyjść za mąż, była już narzeczoną, gdy pewnej nocy usłyszała dziwny głos: Nie idź za Stanisława, twój Oblubieniec czeka na ciebie w Grodnie, a jako dar ślubny otrzymasz od niego czerwoną sukienkę. Tak była tym przejęta, że zerwała z narzeczonym. Potem wstąpiła do Zgromadzenia Nazaretu, była w Grodnie i tam w dzień ślubów wieczystych z przejęciem pytała: „Spełniło się wszystko, a gdzie czerwona sukienka?" Odpowiedź znalazła w lesie Nowojelskim.

Wybuch wojny był dla wszystkich sióstr ciosem. W Nowogródku na wieść, że bolszewicy przekroczyli granicę, powstała panika. Co robić, gdzie iść, jak ukryć się? Wtedy wysuwa się S. Stella, późniejsza przełożona. „Dokąd mamy iść? Do Pana Jezusa!" Sytuacja była opanowana. Siostry poszły do kaplicy. Zostały. Może właśnie ten moment, kiedy w panice potrafiły odnaleźć Chrystusa, stał się dominującym i decydującym we wszystkich wypadkach, aż do męczeństwa włącznie.

Sytuacja w Nowogródku była ciężka. Okupacja jedna, okupacja druga, jeszcze gorsza. Położenie Polaków było ciężkie i stawało się coraz cięższe. W roku 1942 więzienia były pełne, rozładowywano je w ten sposób, że skazańców w wozach wywożono do lasu, gdzie czekały na nich już gotowe wykopane doły.

W r. 1943 terror zdawał się dochodzić do punktu szczytowego. Spośród obywateli wybrano 100 osób na zakładników i przeznaczono na śmierć. Kapelan sióstr figurował już na liście. Społeczeństwo, zdawało się, dochodziło do kresu wyczerpania.

I w tej atmosferze dojrzała ostatecznie myśl i powzięta została przez siostry decyzja, by zastąpić księdza kapelana i zakładników, ofiarując za nich swe życie. Nie robiły z tego tajemnicy, lecz w prostocie swych serc zwierzyły się przed osobami życzliwymi. I tutaj należy szukać bliższej przyczyny ich męczeństwa: poszły tą samą drogą ofiary i miłości bliźniego posuniętej aż do heroizmu, po której poszedł w Dachau O. Kolbe. „W tym poznaliśmy miłość Boga, ponieważ on duszę swą za nas położył, i my powinniśmy za braci dusze kłaść" (I Jan, 3; 16). W tym jest przyczyna ich ofiary. I Bóg ją widać przyjął, bo ksiądz kapelan ocalał i zakładnicy w okolicznościach nadzwyczajnych zostali zwolnieni, co sami z wdzięcznością i wzruszeniem wspominają.

Śmierć sióstr dokonała się w tempie tak przyśpieszonym i w okolicznościach tak niezwykłych, że stała się jakby jakimś misterium, które Bóg chciał ukryć przed ludźmi. Przybyły do Gebietskomisariatu o godz. 7.30, a po godzinie były już w drodze na egzekucję. Niezwykły to i niezrozumiały pośpiech. Zbrodni dokonało nie gestapo miejscowe, lecz okręgowe spoza Nowogródka. Co wpłynęło na manewrowanie z wozem skazańców? Czy to było zastraszenie, aby przed śmiercią wydobyć jakieś zeznanie, czy też jakieś inne pobudki? Pewne jest, że siostry znalazły się przez kilka godzin w suterenach urzędu niemieckiego, aby mieć czas ostatecznie przygotować się do pełnej ofiary.

Jaka tam była ich wigilia, zbyteczne są domysły. Odpowiedzią na to i argumentem będzie pozycja, w jakiej zostały odkopane w grobie, a o której jeden z Niemców, zaangażowanych w egzekucji, powiedział w delirium pijackim w domu rodziny katolickiej, gdzie mieszkał: „Żebyście wiedzieli, jak one szły... ze złożonymi rękami". Według relacji pewnej pracowniczki w urzędzie niemieckim, której Niemcy w tę noc nie pozwolili wrócić do domu, na podłodze zakurzonej w suterenach zostały sylwety wytarte, jakby od leżenia krzyżem i plamy od łez.

Czy trzeba szukać nowych świadectw i dowodów? U kogo? U prześladowców? Zabijanie chrześcijan zazwyczaj nie odbywało się publicznie, nie było urządzane na pokaz, chyba za Nerona w cyrkach rzymskich. Prześladowcy na ogół kryją się przed okiem ludzkim.

Wystarczy sama śmierć, jeżeli autentyczność zamęczonych została stwierdzona. Jeżeli Kościół nie ma pewnych dowodów, czeka i prosi o interwencję Bożą w postaci cudów, które jednak ani do istoty świętości, ani do istoty męczeństwa nie należą.

Gdybyśmy nawet przyjęli, że Siostry padły ze względu na swą działalność, bo uczyły katechizmu, podtrzymywały ducha w otoczeniu lub wprost dlatego, że były Polkami i uległy niemieckiemu prawu eksterminacji żywiołu polskiego, to i wtedy charakter męczeństwa się nie zmienia. Św. Tomasz mówi, że śmierć poniesiona dla swego kraju, n. p. w jego obronie, staje się męczeństwem, jeżeli broniący bronił go ze względu na Boga, owiany miłością sprawiedliwości i prawa Bożego. Czyli, że każde dobro ludzkie może stać się przyczyną męczeństwa, o ile odnosi się do Boga. (S. Th. 2. 2-dae, q 124 a. 5, 3). Komentator Sumy św. Tomasza w tym miejscu dodaje: do męczeństwa wymagane są 4 warunki: 1) aby śmierć nastąpiła, 2) aby dobrowolnie była przyjęta, 3) aby przyczyną śmierci było dzieło cnoty chrześcijańskiej w stosunku do Boga i ze względu na Boga, 4) aby ten, który umiera, miał przynajmniej żal niedoskonały za grzechy. (S. Th. tamże).

Dla pełniejszego zobrazowania wypadków nowogródzkich należy je zestawić z nastrojem, jakim owiane były prawie wszystkie sfery duchowne na Kresach. Idea przedmurza chrześcijaństwa, rzec by można, na nowo się zaktualizowała. Obronę wartości duchowych trzeba było wysunąć na czoło wszystkich innych zagadnień. Hasło: „za Kościół i Ojca Świętego" stało się tym samym motywem, który zabarwiał działanie intecjonalnie, w imię którego trzeba było być gotowym na ofiary.

Wiadomo też ze źródeł miarodajnych, że tą atmosferą żyły wszystkie domy zgromadzenia ss. nazaretanek na Kresach. Dlatego też trudno by było przypuścić, aby ten motyw działania „za Kościół i Ojca św." był zapomniany w chwili, gdy siostry stanęły w obliczu śmierci.

Przemoc fizyczna, jakkolwiek zmiażdżyła ich cielesne istnienie, stała bezsilna wobec ich postawy duchowej. Lud zebrany przy ekshumacji i pogrzebie oddał im hołd, jako męczenniczkom wielkiej sprawy.

Wierzymy w to, że są męczennicami; wszystko za tym przemawia. Bóg wynagrodził ich miłość, która doszła do całopalenia.

Dla większej jednak chwały Bożej i w naszym dobrze zrozumianym interesie leży, aby siostry z Nowogródka zostały wyniesione na ołtarze. Powinniśmy się modlić, aby dokonała się wola Boża. Niech na ruinach i grobach, tak gęsto w Kraju zasianych, jak po napadzie Tatarów, zakwitną na naszej ziemi kwiaty Świętych Bożych.

Ks. Marcin Wojciechowski

* * *

Uwaga: Jeżeli ktoś za wstawiennictwem sióstr nowogródzkich otrzymał łaski od Boga, niech o tym za pośrednictwem ŻYCIA, czy też bezpośrednio, zawiadomi władze zakonne Zgromadzenia SS. Najśw. Rodziny z Nazaretu w Rzymie (Via Macchiavelli 18, Roma).

Z ŻYCIA ZAKONU GROBU ŚW.

Rycerski Zakon Grobu Świętego, który od chwili swego powstania, po zdobyciu w roku 1099 Jerozolimy przez Krzyżowców aż po czasy dzisiejsze, dał dowód przykładnego działania i wiernej służby dla Stolicy Piotrowej, był już reorganizowany kilkakrotnie przez poprzednich papieży. Mimo to, Ojciec św., Pius XII, wprowadził w nim w roku 1949 dalsze reformy, uwzględniające warunki dzisiejszej doby. Najważniejszą z nich było postanowienie, że stanowisko Wielkiego Mistrza zajmować będzie odtąd jeden z członków kolegium kardynalskiego.

Sprawujący obecnie ten urząd kardynał Canali dokonał w organizacji Zakonu szeregu doniosłych zmian i ujął je w statucie, wydanym w Rzymie w roku 1949. W myśl tego statutu, Zakon Grobu Świętego jest czynną milicją a jego członkowie mają mieć głównie na uwadze utrzymanie ducha i cnót krzyżowców, posługując się przy tym „bronią wiary, apostolstwa i miłosierdzia". Statut nakazuje branie czynnego udziału w opiece nad świętymi miejscami w Palestynie i zaleca rozprzestrzenianie tej akcji wszędzie, gdzie tylko jest możliwe uzyskanie pomocy materialnej na ten cel. Nawiasem mówiąc, zagadnienie opieki nad miejscami świętymi i brak środków do utrzymania katolickich ośrodków w Ziemi Świętej, wymaga specjalnej troski szerszych sfer społecznych i pewnej inicjatywy ze strony ludzi dobrej woli.

Zakon Grobu Świętego dzieli się na szereg prowincji podległych „Wielkiej Radzie" z Wielkim Mistrzem na czele.

Na wniosek przełożonego danej prowincji zakon przyjmuje do swego grona praktykujących członków Kościoła rzymsko-katolickiego obu płci, posiadających wymagane warunki. Są one obecnie bardzo przystępne. Wstępujący winien złożyć uroczyste ślubowanie, z czym wiąże się ceremoniał, w czasie którego postulant otrzymuje rycerskie dystynkcje zakonu.

Dzięki gorącemu poparciu Ojca św. i niespożytej energii kardynała Canali potężna organizacja Rycerzy Grobu Świętego rozrosła się w całym świecie. Liczy ona wiele tysięcy członków, wśród których Polacy stanowią niestety ilość najmniejszą, chociaż w czasie ostatniej wojny związali się z Ziemią Świętą może bardziej nawet, niż inne narody.

W. A. Chebda

ZAPISKI LONDYŃSKIE

SUKCES TANCERZY POLSKICH

Występy tancerzy polskich na wieczorze w Albert Hallu, urządzonym przez Towarzystwo Tańców Ludowych różnych krajów (Society for International Folk Dancing) w dniu 23 kwietnia, spotkały się ze szczególnie żywym aplauzem publiczności.

„Spośród występów zespołów cudzoziemskich — pisze recenzent „Sunday Times", Cyril Beaumont — najbardziej mi się podobało wykonanie przez grupę polską tańca góralskiego z wysokimi podskokami w górę i zawiłymi krokami mężczyzn, rytmicznego kujawiaka i pełnego życia trojaka, w którym dwie dziewczyny żartują sobie z zakochanego chłopaka. Podobał mi się dalej ukraiński „hopak", w którym mężczyźni podskakują podnosząc w górę nogi, by dotknąć dłonią palców stopy; malownicze tańce portugalskie: „gota", „verde gaio" i „vira" oraz hiszpański „alegrias".

ORDER PODWIĄZKI

Winston Churchill, jak wiadomo, otrzymał wraz z tytułem Sira stary brytyjski order Podwiązki (Order of the Garter), ustanowiony w XIV wieku przez Edwarda III. Dało to prasie powód do nowych historycznych rozważań na temat genezy tego orderu. Wedle rozpowszechnionej od wieków wersji, order ten powstanie swe zawdzięcza epizodowi na uroczystym balu dworskim, kiedy Edward III podniósł podwiązkę hrabiny Salisbury, imieniem Joan. Wersja ta traktowana jest przez historyków bardzo sceptycznie. Wedle późniejszych badań, Edward III zamierzał początkowo wskrzesić instytucję „Rycerzy Okrągłego Stołu" mitycznego króla Artura. Ostatecznie jednak order otrzymał jako swego patrona nie króla Artura, ale św. Jerzego. Dlaczego zaś wybrano podwiązkę, trudno dziś dociec. Historycy przypuszczają na ogół, że chodziło tu o symbol rycerskiego hołdu, składanego przez rycerzy damom.

WŁOSKI ZESPÓŁ TEATRALNY W LONDYNIE

W londyńskim teatrze St. James's występuje obecnie zespół dobrych aktorów włoskich z Ruggero Ruggeri na czele. Gra on dwie sztuki Pirandella: „Enrico IV" i „Tutto per Bene". Bohaterem pierwszej z nich jest szlachcic włoski, który popada w obłęd i wyobraża sobie, że jest cesarzem. Sztuka stanowi psychologiczne studium szaleństwa. Druga ze sztuk „Tutto per Bene" ma za temat zagadnienie ułudy i rzeczywistości i ich wzajemnego stosunku.

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

Wśród wystaw, które właśnie dobiegają końca, na szczególne zainteresowanie zasługiwała wystawa malowideł ściennych (mural paintings), odbywająca się w Królewskim Instytucie Architektów Brytyjskich przy Portland Place (ongiś, czasu wojny, odbywała się tam wystawa architektury polskiej!).

Wystawa ta obejmowała freski, mozajki itd. i rysunki budynków, do których te malowidła są przeznaczone. Znajdował się wśród nich piękny fresk artysty polskiego Marka Żuławskiego. Wystawiono też fotografie malowideł Feliksa Topolskiego, przeznaczonych dla jednej ze szkół londyńskich.

W I.C.A. Gallery (17, Dover Street, W. 1) odbywa się wystawa obrazów i rysunków wybitnego współczesnego artysty francuskiego Le Corbusier, znanego także z twórczości w dziedzinie architektury.

Obrazy innego interesującego malarza francuskiego Minaux wystawione są w Adams Gallery (24, Davies St., Berkeley Sq., W. 1).

„PRZENOŚNE MIASTA"

Najefektowniejszą częścią wystawy przemysłu brytyjskiego (British Industries Fair), odbywającej się w wielkiej hali Earls Court, jest „Miasto przenośne" („Transportable Town"). Są to zespoły „prefabrykowanych" budynków, obejmujące poza domami mieszkalnymi także szkoły, szpitale, magazyny, urządzenia lotniskowe, a nawet kościoły. Produkcją tą zajmuje się 20 firm brytyjskich. Obliczona jest ona na eksport do różnych krajów świata.

Już w r. 1952 Wielka Brytania sprzedała takich prefabrykowanych budynków za sumę 8 milionów funtów, a wzrost eksportu jest tak szybki, że spodziewane jest dojście do 100 milionów funtów rocznie. Specjalnie chłonna w tym zakresie jest Australia i Środkowy Wschód, choć prefabrykowane domy brytyjskie spotyka się i we Francji.

LICYTACJA, KTÓRA TRWA 14 LAT

W słynnej londyńskiej hali licytacyjnej Sotheby's dobiega obecnie końca licytacja ogromnej i obfitującej w cenne druki biblioteki Harmswortha (Harmsworth Library). Licytacja ta trwa od roku 1939; ze sprzedaży książek osiągnięto w ciągu tych czternastu lat około ćwierć miliona funtów.

Od pewnego czasu przedmiotem licytacji były t. zw. Americana, to znaczy książki, dotyczące Ameryki, od najwcześniejszych druków francuskich, hiszpańskich i angielskich poczynając. Nabywcami oczywiście są niemal wyłącznie Amerykanie, którzy w ogóle od chwili zakończenia wojny „myszkują" nie tylko po Anglii, ale także po całej Europie Zachodniej, wykupując stare druki i ogromnie podbijając ich ceny.

JAN BIELATOWICZ

O ZŁEJ TOLERANCJI

U podstaw tak zwanego demokratycznego ideału kultury leży szeroka tolerancja. Polega ona na tym, aby nie wierzyć w żadne zasady i nie uznawać żadnych twierdzeń jako niewzruszonej prawdy. Demokratyczna tolerancja jest celem sama w sobie, nie zaś środkiem do osiągnięcia jakichkolwiek nadrzędnych celów. Człowiek tolerancyjny, to już człowiek ostatecznie uformowany, pełny, doskonały. Nie ważne, co człowiek ów sam wyznaje i w co wierzy; ważne jest jedynie to, iż nie istnieją dla niego takie zasady, którym by się mógł przeciwstawić, które by mógł zwalczać. Ostateczną konsekwencją tego ideału jest wyzbycie się wszelkich zasad i wyrzeczenie się własnych sądów: wszystko jest względne, nie istnieją żadne pewniki, każdy ma swoją rację. Tolerancja ta zresztą polega tyleż na szanowaniu, co na lekceważeniu cudzych przekonań, które wszak są zawsze względne. Grecy nazywali taką postawę filozoficzną cynizmem.

Istnieją dziś nawet liczni katolicy, którzy skłonni są przypuszczać, iż prawdziwa tolerancja jest z ducha Ewangelii, że tolerancja jest owocem nauki Kościoła. Niemal wszyscy nasi narodowi panegiryści dowodzą chrześcijańskości Polski — jej rzekomą tolerancją religijną, łącząc ze sobą dwa sprzeczne żywioły: wiarę z tolerancją, honor przedmurza chrześcijaństwa z indyferentyzmem.

Tolerancyjny katolik, to osobnik, który wprawdzie wierzy i ma swoje „zasady", ale spełniają one w jego życiu rolę starych nadań herbowych, które się przechowuje na dnie antycznych skrzyń pod siedmioma pieczęciami. Leżą sobie one bezpiecznie, w najgłębszym ukryciu, ponieważ w życiu nie posiadają żadnego praktycznego zastosowania.

Tolerancyjny katolik wszystko wybacza i na wszystko pozwala. Tak mu bowiem nakazują jego „zasady". Jest to jedno z najpotworniejszych oszustw człowieka wobec Boga, gdyż równa się wciąganiu Go w czarne odmęty niemoralności, sygnuje niemoralność Bożym autorytetem. Katolik nie ma prawa do tolerancji. Posiadać ją może tylko człowiek niewierzący, bezbożnik. Wiemy zresztą, że w rzeczywistości jest inaczej: najbardziej nietolerancyjni są właśnie bezbożnicy. Tolerancja jest więc tylko przedsionkiem niewiary.

Zagadnieniu tolerancji poświęcił w roku ubiegłym odczyt w American Library Association — Jacques Maritain. Poddał on krytyce argumentację Hansa Kelsena, twórcy teorii „relatywistycznego uzasadnienia demokracji". Kelsen uznał za patrona relatywistów Piłata, który rzucił Chrystusowi pytanie: „Cóż to jest prawda?" Twierdzi, że kto zna absolutną prawdę i wie gdzie jest sprawiedliwość, ten nie może dopuszczać innych poglądów, niż jego własne, słuszne. Człowiek wierzący musi więc prowadzić nieubłaganą krucjatę przeciw niewierzącemu, wiedzący przeciw niewiedzącemu. Świadomość posiadania słuszności jest zatem zupełnym zaprzeczeniem demokracji. Wiara wyklucza demokrację. Odwoływać się do decyzji ludu można tylko wówczas, kiedy nie posiada się świadomości i pewności, co to jest i gdzie jest Dobro.

Czyżby zatem chrześcijanie, zgodnie z powyżej przytoczonymi poglądami, mieli się wyrzec demokracji? Po stokroć nie! „Wiara wymuszona jest hipokryzją, wstrętną w oczach Boga i ludzi" — powiedział kardynał Manning. Człowiek wierzący, powiedzmy wyraźnie: katolik, uznaje pełną godność i wolność ludzkiej osoby i nie ma jej prawa do niczego z m u s z a ć. Jego prawem i obowiązkiem jest tylko na drugich wpływać i odwoływać się do ich sumień. Poszanowanie wolności woli jest fundamentem chrześcijaństwa. Toteż odwołując się do decyzji ludu, czynimy tak nie dla braku świadomości i pewności, co to jest Dobro, ale dlatego, że je znamy. Odwołujemy się więc w imię jego do wewnętrznej wolności innych ludzi, ofiarując im albo dowodzenie albo świadectwo swej miłości.

Katolik jest zatem tolerancyjny, ale tylko wobec ludzi; nie ma wszakże prawa do tolerancji wobec zasad. Tolerancja i demokracja są formami, a nie treścią ludzkiego działania. Katolik jest obowiązany w sposób tolerancyjny i demokratyczny walczyć o zwycięstwo swej prawdy. Nie wolno mu wyznawać tolerancji jako celu w sobie. Tolerancja może służyć tylko jako pole bitwy o prawdę, jako metoda w dążeniu do prawdy.

„Błąd teoretyków — mówił J. Maritain — którzy z relatywizmu, nieświadomości i wątpienia czynią konieczny warunek wzajemnej tolerancji, płynie stąd, że swoje słuszne uczucia odnoszące się do podmiotu przesuwają na przedmiot i w ten sposób pozbawiają człowieka i ludzki intelekt tego właśnie aktu, na którym polega godność człowieka i sens życia, czyli uczestnictwa w prawdzie."

„Prawdziwa i autentyczna tolerancja występuje tylko wtedy, kiedy ktoś jest mocno i stanowczo przekonany o jakiejś prawdzie lub o tym, co uważa za prawdę — i kiedy jednocześnie przyznaje tym, którzy przeczą tej prawdzie, prawo do istnienia i do przeczenia i do wyrażania własnych przekonań — nie dlatego, że są oni wolni od prawdy, ale dlatego, że szukają jej po swojemu i ponieważ szanuje w nich ludzką naturę i ludzką godność i te właśnie zasoby i żywe źródła umysłu i sumienia, które dają im potencjalną możność osiągnięcia prawdy..." („Własne i cudze prawdy", „Tygodnik Powszechny" nr 397).

Również wyrozumiałość dla natury ludzkiej nie oznacza zgody na grzech, sojuszu ze złem. Kościół nie wyklucza ze swego łona grzeszników, ale uważa ich za członki obumarłe swojego ciała.

Szerokie te rozważania wstępne są nam potrzebne do naświetlenia roli czołowego pisma polskiej inteligencji emigracyjnej, za jakie uważają się, w pierwszym rzędzie same, „Wiadomości". Pod wieloma względami są one istotnie pismem znakomitym. Różne zalety tygodnika, pod wytrawną redakcją Mieczysława Grydzewskiego, są jednak tylko dodatkowym obciążeniem zgubnej roli tego pisma w dziedzinie religijno - moralnej. „Wiadomości" ośmieszają katolicyzm i głoszą relatywizm moralny.

Można mieć wiele wyrozumiałości dla nieuniknionych błędów i omyłek wyrażanych bona fide na łamach „Wiadomości" przez różnych autorów. Można też przejść do porządku nad utworami literackimi nie nacechowanymi przesadnie wysoką świadomością moralną. Wypływają one zwyczajnie z moralnej niewiedzy.

Niestety „Wiadomości" nie poprzestają na błędach, ale raz po raz prowokują świadomość religijną i etyczną katolików, którzy są czytelnikami pisma. Kroplą w wypełnionym pucharze tejże prowokacji był artykuł pana Juliusza Sakowskiego p. t. „Stacje miłosnej pomocy", zamieszczony w nrze 368 „Wiadomości". Autor artykułu pozwolił sobie ni mniej ni więcej, tylko przypisać kościołowi Panny Marii patronat nad domami publicznymi. „Surowa i skalna Notre Dame de la Garde wznosiła się wysoko nad Marsylią, nad mrowiem czerwonych świateł zapalanych na niezliczonych (dziś już nieczynnych) stacjach grzechu." Pan Juliusz Sakowski opłakuje likwidację jednego z głównych filarów kultury, za jaki uważa francuskie domy rozpusty. Dowodzi gorąco i z wielkim rozżaleniem, że im to, francuskim zamtuzom, zawdzięcza literatura najpiękniejsze karty, a biedni samotnicy, zwłaszcza cudzoziemcy, odnajdywanie sensu i radości życia.

Biedny pan Sakowski. Człowiek, który woli jadać odpadki ze śmietnika, niż potrawy z talerza, budzi przede wszystkim politowanie. Ale pan Sakowski i jego organ uważają się za bardzo postępowych, demokratycznych, judymowskich i wolnościowych. Wykazują ciągoty ludowe, rzec by można socjalistyczne. Czy tedy nie przyszło na myśl autorowi rozprawki o francuskich bordelach, jak też redaktorowi tygodnika, któremu artykuł jest przypisany, że są one nie tyle płodem esprit gallickiego, co kwiatem, który się pleni na dnie nędzy społecznej i socjalnego wyzysku? Prostytucja jest chorobą społeczną, jest wrzodem na organizmie społeczeństwa, zjawiskiem niemoralnym nie tyle w sensie zepsucia, co przede wszystkim w sensie wyzysku społecznego. Trzeba się znaleźć nad przepaścią, aby się zdecydować na sprzedanie ostatniej swej własności — ciała. Opłakiwanie więc instytucji prostytucji jest taką samą czarną reakcją, jak ból nad zniesieniem niewolnictwa lub protest przeciw zniesieniu pracy dla nieletnich. Pan Sakowski widać brał na serio uciechy „lustrzanych przedsionków", nie zdając sobie chyba sprawy, ile się za nimi kryje krzywdy i goryczy. Dojrzał w nich ucieszną goliznę, nie dostrzegając, iż domy publiczne, to nory smutku i rozpaczy.

Nie chodzi tu o faryzejski purytanizm. Każdy człowiek błądzi, ale ratuje go żal i chęć wyjścia z błędu. Natomiast gloryfikacja zła jest smutkiem nad smutkami.

Nie koniec na tym. Pan Juliusz Sakowski nie wiedzieć cui bono do swych zachwytów nad „stacjami miłosnej pomocy" wplótł reminiscencje i motywy kultu chrześcijańskiego. Oto raz dom schadzek nazywa „opatrznościowym", to znów za jeden z tematów rozmów z kurtyzanami uważa „kobiecą spowiedź, opowieść o pierwszej komunii", wreszcie — ustanawia patronat kościoła Panny Marii, Tej, którą Kościół czci jako wzór czystości, nad czerwonymi lampkami Marsylii. Jest to prostu bluźnierstwo.

Tematy religijne nie są rzadkością na łamach „Wiadomości". Do zespołu stałych współpracowników pisma należy nawet kilku bardzo szanownych publicystów i pisarzy katolickich, ba, pisują tam nawet i księża. W ten sposób na łamach „Wiadomości" schodzą się zwolennicy kościoła narodowego i czołowy herold papiestwa, wielbiciele Moravii i apologeci Indeksu, autorowie modlitewek i autor „Stacji miłosnej pomocy", biografowie papieży i pogromcy „urzędowego Kościoła", publicyści od dzwonu św. Piotra i piewcy swobody seksualnej, tłumacze Charles Peguy i tłumacze Gide'a. Krótko mówiąc, towar katolicki jest również do nabycia na łamach „Wiadomości", wyłożony obok relatywizmu, cynizmu, niemoralności i bluźnierstwa. W imię „tolerancji", t. j. w imię nieposiadania żadnej własnej idei.

Nie naszą jest sprawą wtrącać się do redagowania „Wiadomości" i do pobudek, którymi kierują się autorzy zasilający łamy tygodnika swymi pracami. Jest jednak naszą sprawą zaprotestować przeciwko wywłóczeniu tematyki katolickiej na łamach „Wiadomości", dopóki nie zmienią one swojej linii ideowej. Gdyby „Wiadomości" opowiedziały się otwarcie po stronie protestantyzmu czy kościoła narodowego albo deizmu czy czegoś podobnego, bolelibyśmy nad tym, lecz uważalibyśmy to za mniejsze zło, niż obecny sposób redagowania tego pisma. Wciąga ono bowiem łatwowiernych katolików do współpracy, a głosi jawny relatywizm religijny. Owi zaś łatwowierni katolicy dają widowisko z wiary pisząc na tematy katolickie na łamach pisma szkodliwego z katolickiego punktu widzenia.

W konkluzji jesteśmy zmuszeni jako pismo katolickie ostrzec polskich katolików przed niewłaściwym kierunkiem ideowym „Wiadomości". Nie wzywamy do palenia na stosie i do potępiania tygodnika, gdyż jako katolicy wierzymy, iż „Wiadomości" zawrócą z błędnej drogi. Tolerujemy wszystkie błędy i omyłki. Nie wolno nam tolerować głoszenia błędnych zasad i urągania naszej wierze.

W każdym numerze „Wiadomości" znajdują się dziesiątki listów zachłystujących się w zachwycie nad geniuszem i talentem autorów artykułów drukowanych w „Wiadomościach". Oczywiście, należy się spodziewać bani z zachwytami nad „Stacjami miłosnej pomocy". A „tolerancyjni" katolicy, współpracownicy „Wiadomości" zapewne przymrużą oczy na ów utwór. Tolerancja jest bowiem „tradycją polską". Właściwie najlepiej byłoby skończyć z niewygodnym podziałem i raz na zawsze ożenić dobro ze złem. Obalić przesądy, znieść granice moralne, skasować religię, a na tronie świata posadzić Tolerancję. Wówczas nareszcie życie stałoby się piękne. I jakże kulturalne!

Jan Bielatowicz

HERMINIA NAGLEROWA

„STACJA ABBESSES"

Po „czasach pogardy" nastały „czasy lęku". Przeciw pogardzie broniła się ludzkość resztką godności, która miała jeszcze prawo głosu, a przynajmniej upierała się przy swoich uprawnieniach odziedziczonych po XIX wieku. Ale i przed lękiem, chociaż przydusił i oniemił, organizuje ludzkość coś na kształt obrony. Bywa też, że walczy z tą niweczącą siłą. W oporze i ataku posługuje się jednak bronią wcale nie nowoczesną, lecz dawną i wypróbowaną. Orężem tym są właściwe człowiekowi zasoby duchowe, których zasięg, chociaż ograniczony, potrafi sprostać grozie, złu, nieprawdopodobieństwu.

Opowiadanie Stefanii Zahorskiej „Stacja Abbesses"*) jest właśnie rozprawieniem się z lękiem w wymiarach psychicznej wytrzymałości i pojemności. Na stacji kolejki podziemnej w Paryżu, służącej za schron, strach ludzkiej gromady przed bombą atomową ma, jeżeli tak można powiedzieć, przebieg normalny. Autorka doskonale zorkiestrowała masowy popłoch, stopniując jego napięcie, niemal po szekspirowsku uśmierzając grozę przy użyciu wstawek humoru i dowcipu. Wprędce występują na pierwszy plan — aby już zostać przy muzycznym zestawieniu — partie solowe. Wyodrębnione osoby potrzebne są i wizji i tezie utworu.

Te dwie, zdawałoby się sprzeczne z sobą, formy sprzęga autorka nie tylko w sposób umiejętny, ale i najbardziej odpowiedni dla dzisiejszej reakcji na wielorakie zjawiska. Prześladuje nas bowiem wizja powszechnej katastrofy, gdy jednocześnie umysł nasz zachowuje trzeźwość i ogarniając skutki kataklizmu, zabiera się rzeczowo do odbudowania zniszczonego świata. Jeżeli nawet plan tej odbudowy opiera się na schematach i uporczywych nawykach myślenia, nie brak mu konstruktywności. Chodzi przecież o to, żeby ziemia znowu była życiodajną, żeby człowiek na nowo podjął trud istnienia, pełnego nadziei i udręki.

Nie znaczy to, że osoby opowiadania Zahorskiej wrócą akuratnie do punktu wyjścia, że po wstrząsającym przeżyciu będą tymi samymi, poniekąd typowymi przedstawicielami pojęć, przekonań, wierzeń. Pod naciskiem grozy — in articulo mortis — odbywa się w skrócie proces samopoznawczy, który musi zaważyć na psychice i zmienić stosunek do spraw dokonanych, poczętych lub zamierzonych.

Dobór tych spraw — ich wielkość czy małość, ich wartość indywidualna czy powszechna — nie jest w opowiadaniu Zahorskiej przypadkowy. Wszystko, co ci zagrożeni ludzie wydobywają ze swoich duchowych zakamarków, co odtwarzają we wspomnieniach i co wygłaszają na użytek chwili bieżącej, ciągle jak gdyby nie pozbawionej jutra, określa poszczególne postacie po to, żeby autorka dyskusyjnie przeprowadziła swoje wnioski. To zaś, że samopoznanie ma przyśpieszone tempo, gdyż popędza nim strach przed ostatecznym rozstrzygnięciem, daje tym obrachunkom całkowitą wiarogodność. Jest to bez wątpienia zasługa autorki, że nie kwestionujemy szczerości wyznań, mimo że są one niekiedy wybiegiem dla zjednania sobie wrogiego losu.

Osoby opowiadania rekonstruują jednak swoje przeżycia nie tylko dla dociekań psychologicznych czy też chytrych sprostowań. Skłania ich do tego instynkt samozachowawczy, jakim jest świadomość ciągłości istnienia i opieranie się kresowi, nieistnieniu. Toteż powoli przepadają realia przeszłego, jeszcze wniesionego tutaj przed chwilą życia, blednie jego urok i łagodnieje jego dotkliwość. Odgrzebane z niepamięci szczegóły spełniły swoje zadanie, a to, co teraz dziać się będzie za ich sprawą, jest i donioślejsze i celowe. Wkraczamy bowiem w fazę przeobrażeń. Gotowe już charaktery i typy zaczynają poznawać inny wymiar pojęć i odczuwań. Ci, którzy przeżyją pod gruzami, przewartościują rzeczywistość świata.

I to jest chyba najważniejsze w opowieści Zahorskiej, jak ci ludzie cudem uratowani i wewnętrznie odmienieni podejmą swoje życie na nowo, bodaj od początku. Czego możemy się od nich spodziewać? Jakimi będą jednostkowo i w zespole? Już to, że rzecz się dzieje w Paryżu, ma swoją wymowę. Z tego miasta, które ciągle jeszcze jest stolicą Zachodu, promieniują i dziś, jak przez ubiegłe wieki, blaski i nędze duchowe. Toteż w opowiadaniu Zahorskiej rozgrywa się w barwach zachodu i zapadającej nocy paryskiej nie tylko przepiękne, malarskie widowisko, ale zmaganie się jednostki z tłumem, z masą. Z tej samej przesłanki: dążenia do Boga — wyłaniają się dwie wersje. Jedna manifestująca się głośno, oszołomiająca jak żywioł jest wizją apokaliptyczną—à rebours. „Czas cofnął się o wiele wieków wstecz" — stwierdza autorka przez usta jednego z świadków masowego porywu.

Niewątpliwie chodzi autorce o te ciemne siły, których egzaltacja nie dopuszcza do wyboru między dobrym a złym. Jak w krótkim spięciu następuje wyładowanie się energii, w której skład wchodzą obok ślepych instynktów także ludzkie tęsknoty za wyzwoleniem się z powszedniości. Gdy znika wchłonięty przez Paryż pochód z „komunistycznym świętym", gdy osamotnionemu widzowi zabraknie wiary w wybawiającą wieczność i Boskie miłosierdzie — usłyszymy głos jednostki. Przemówi najprościej wiara cicha, radosna, pokorna i pewna: „Jesteś bardzo niecierpliwy... Może sobie wyobrażasz, że świat został stworzony raz na zawsze, że był, jest i będzie jednaki?" Te skąpe słowa nie są doraźną pociechą. Są — mądrością wiary. Dają bowiem światu, więc ludziom, szansę doskonalenia się w niewymiernym czasie.

Pisząc o opowiadaniu Zahorskiej, staram się nie wyjść poza jego ramy. Uważam „Stację Abbesses" za tak nieprzeciętną pozycję w naszym emigracyjnym pisarstwie, że powinno się temu utworowi pozostawić jego wydźwięk, który, mimo pewnych zamgleń i niejasności, jest rezultatem głębokich trosk autorki i jej odważnych przemyśleń. Duża kultura literacka Zahorskiej, bogate słownictwo, zastosowanie elementów malarskich, muzycznych, filmowych — dają temu opowiadaniu to, co nazwałabym wartością samego materiału twórczego. Zahorska umiała te walory obficie rozmieścić w przestrzeni zamkniętej, natłoczonej i pozbawionej światła. Jej spokój narracyjny zapanował nad niesfornością tłumu i gwałtownością wydarzeń. Tak samo z namysłem i troskliwie dobrała zespół osób, każdej wyznaczając należne miejsce w akcji.

Są to oczywiste zalety pisarstwa o podbudowie intelektualnej, więc o założeniach z góry ustanowionych. Przemyślenia autorki podporządkowane fabule musiały jednak — dla prawideł właśnie fabularnych — przeobrazić się w odczuwanie. Wszystkie działające osoby są uczuciowcami. Marzą, tęsknią, żałują za grzechy, poetyzują i więcej cierpią duchowo niż fizycznie. Nawet komuniści odrzucają doktrynerstwo dla fanatyzmu lub zwyczajnie, po ludzku — dla rzewności. Mózg, podsuwając jedynie obrazy, w których się zawarły przeżycia i nurtujące niepokoje, nie precyzuje myśli, ani nie zmierza do składnych i niezbitych wyjaśnień. To uczucia biedzą się, szukają, błądzą i natrafiają niekiedy na właściwy ślad niedoli czy zatraconego szczęścia.

Ale stąd już jeden krok do mistycznych stanów duchowych, do wyobrażeń i przeczuć. Z tych samych uczuciowych pobudek formuje się wołanie o cud, a wreszcie ufność, że Bóg jest dobry, że Bóg jest! Uciekanie się nieszczęśliwych pod Jego opiekę jest u wielu odnajdywaniem zagubionej wiary, u innych opornym jej zdobywaniem. Ale i jedni i drudzy, pragnąc cudownego ocalenia, powoli wydobywają się poza granice doczesności. Jest chwila, kiedy siły fizyczne się wyczerpują, kiedy omdlenie i śmierć odbiera poczucie rzeczywistości. Lecz chociaż wszystko, co się rozgrywało w tunelu, zmierzało ku tragicznemu końcowi, ludzie zacichają jak gdyby w poczuciu błogostanu. I ci, którzy wymarzyli sobie lepszy świat doczesny i ci, którzy przeczuli wieczność, uwierzyli w prawdy nadrzędne.

Potem, gdy dla wielu przyjdzie cudowne ocalenie, przyjmą je z uniesieniem, w której nie braknie naiwnej pychy. Bóg ich przecież wysłuchał, Bóg wybrał tylko ich! Ci właśnie ruszą z pochodem, żeby obwołać, czy też wykrzyczeć to, co rozpiera ich piersi: że uczestniczyli w cudzie, że są świadkami cudu.

Nie wszyscy jednak doznają uniesienia. Trzeba tu zająć się imiennie jedną z osób w zawalonym schronie „Stacji Abbesses". Mam na uwadze Kamila, który dźwiga odrębny bagaż przeżyć, rozważań, uczuć. Kamil jest w tej gromadzie (poza angielską drużyną sportową, nie biorącą zresztą udziału w akcji) jedynym cudzoziemcem. Jest Polakiem. Autorka nie daje mu, Bogu dzięki, cech rycerza bez zmazy i skazy, ale wyróżnia go, czuwa nad nim, proteguje go. Być może — wyznaczyła mu główną rolę w opowiadaniu i zachowała go dla przyszłości, aby coś zdziałał lub o czymś zaświadczył.

Kamil więc nie jest również osobą przypadkową, a jego przynależność narodowa ma bodajże symboliczne znaczenie. Przebrnął wszakże przez polskie, złe losy, do czegoś duchowo się dopracował i, jak przystało, nie związał się z żadną grupą, nie wrósł w żadne środowisko. Na dobrą sprawę nie przynależy nawet do siebie samego. Jego myśli i odczuwania są tylko wątkami skądś pobranymi i szybko gubiącymi się pod wpływem bieżących, osobliwych wydarzeń. Dlatego też chybia, nie dopełnia, załamuje się. I dlatego — wzrusza nas swoistą donkiszoterią, bezinteresownością, chęcią dopomożenia innym, może domierzaniem siebie do innych, czy też włączaniem siebie w przeżycia innych ludzi.

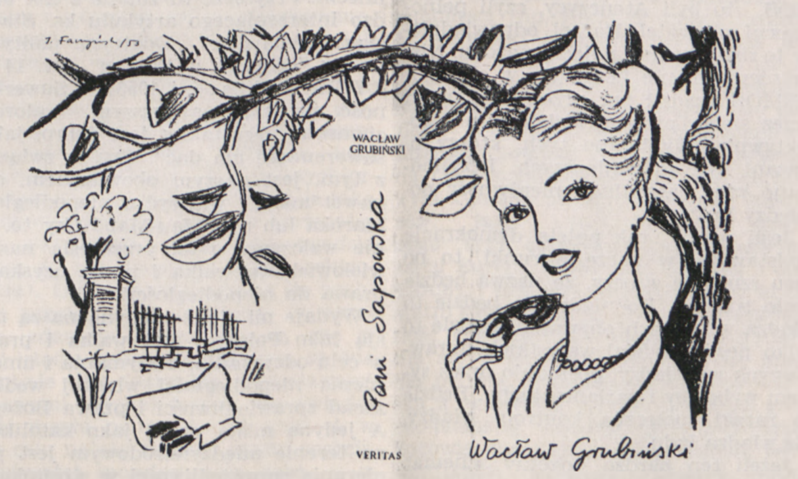
I oto zostaje sam. Nie przyłącza się do pochodu, przerażony takim przeobrażeniem po straszliwych doświadczeniach. Pełen rozpaczy i zwątpienia wadzi się z Bogiem. Myśli i czuje jak niecierpliwy buntownik, gotów rzucić się na oślep i zatracić się we własnym bezpojęciu. Kiedy Maria bierze go za rękę, zachowuje się jak medium i idzie, pójdzie posłusznie „wyboistą drogą", drogą wskazaną, nie przez siebie obraną. Pozostańmy jednak w ramach opowiadania: autorka nie chciała zaprzepaścić Kamila, ale też ani jego, ani siebie, ani nas czytelników nie chciała łudzić, że droga do chrześcijaństwa jest łatwa. Że można na nią wkroczyć bez przewodnika, przemierzać ją bez oparcia się o drugiego człowieka.

I jeszcze coś na zakończenie: opowiadanie Stefanii Zahorskiej jest pierwszym z trzech nowel, które złożą się na małą „trylogię". Opowiadania łączy z sobą jedynie treść wewnętrzna, zatem to, co jest wyznaniem wiary autorki i jej postawą wobec współczesnych zagadnień.

„Stację Abbesses" wydała „Oficyna Poetów i Malarzy" z tą samą starannością, jak dotychczasowe druki. W tekście znajdują się rysunki Feliksa Topolskiego, które niejako towarzyszą przebiegowi opowiadania.

Herminia Naglerowa

*) **Stefania Zahorska STACJA ABBESSES. — Oficyna Poetów i Malarzy. Na emigracji w Anglii 1952. Rysunki: Feliks Topolski.**



PANI SAPOWSKA

FRYDERYK MISTRAL

Świętych obcowanie

Ze spuszczonymi szła oczyma
Po schodach świętego Trofima.)*
Wieczorne już się tliły zorze,
Gaszono świece po nieszporze;
Święci, w kamieniu wyciosani,
Błogosławili po kryjomu
I spod portyku aż do domu
Odprowadzali ją oczami.
Bo takich dziewcząt nie ma wiele
Ślicznych, jak ta, co się w kościele
Ani zaśmieje, nie zagada,
Wzrokiem nie wodzi po sąsiadach,
Lecz gdy organów głos z wysoka
Zagrzmi do wtóru księdzu w bieli,
Rzekłbyś, że Pańscy ją anieli
Do raju niosą na obłokach.
Kamienni Święci, widząc co dzień,
Jak po kościoła stopniach schodzi,
Pomiędzy tłumem się przemyka
I na ulicy skręcie znika —
Święci kamienni patronowie
Miłe dziewczątko polubili
I gdy ich nocy chłodził powiew
W przestrzeniach o niej gawędzili.
— Chciałbym ją widzieć, pierwszy rzecze
Święty Jan, białą mniszką czystą,
Zdradliwe ścieżki są człowiecze
A klasztor to najlepsza przystań. —
— Zapewne, św. Trofim na to,
Lecz któż w parafii ją zastąpi?
Dziwimy się, że ciemno światu,
Gdy mu się takich świateł skąpi...
Święty Honorat wtrącił: — Mili,
Już księżyc chmury przebił rogiem,
Czas byśmy kościół opuścili,
Łąkami się udali w drogę.
Dziś Wszystkich Świętych w kalendarzu:
W naszej intencji, uroczyście
Mszę świętą Pan nasz osobiście
Odprawiać będzie na cmentarzu.
Tu święty Łukasz rzecze śmiało:
„A gdyby zabrać dziewczę nasze?
Niech się ustroi w szatę białą,
Niebieską szarfę niech przepasze..."
Słowo się rzekło. Wiatr powionął,
Święci zstąpili z piedestałów,
We śnie odjęli duszę ciału
I wzięli z sobą, zachwyconą.
Zbudziła się nazajutrz z rana,
Z radości cała zapłakana,
Opowiadała wszystkim wobec,
Jak to ją Święci wiedli z sobą,
Jak na cmentarzu ścisk był duży,
Anioły śpiewały dyszkantem,
Jak święty Trofim do Mszy służył
A Chrystus sam był celebrantem.

ARLES, kwiecień 1858.

Z prowansalskiego tłumaczyła
Zofia Romanowicz

*) Katedra św. Trofima w Arles. Wedle legendy prowansalskiej, w dzień Wszystkich Świętych Chrystus Pan odprawia Mszę św. na cmentarzu w Arles, zwanym Aliscamp (Champs-Elisées).

Opieka nad emigrantami

Opieka nad emigrantami. Znaną jest wyjątkowa opieka Piusa XII nad emigrantami. Obecnie królowa holenderska Juliana zwróciła się odręcznym pismem do prezydenta Eisenhowera z prośbą o zajęcie się sprawą emigrantów w skali światowej. Prezydent zaznaczył w odpowiedzi, że sprawą tą należy się zająć nie tylko ze względów humanitarnych, ale i dlatego, że uchodźcy polityczni „pragną wraz z nami odegrać rolę w urządzeniu nowego porządku światowego". List prezydenta ogłoszono w 24 godziny po zwróceniu się prezydenta do Kongresu o dopuszczenie dodatkowych 240 tysięcy emigrantów z Europy.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 10 maja 1953.

Z TRWOGĄ I SMUTKIEM

Umiejętność używania słowa w mowie czy w piśmie — jako narzędzia sztuki — jest wielkim zaiste darem. Wielkość artysty spływa nie tylko poprzez techniczną sprawność stwarzanego dzieła, lecz przede wszystkim odbija się znamieniem prawdy w sobie noszonej, w siebie wchłoniętej i w sobie pielęgnowanej.

Artykuł p. Juliusza Sakowskiego w „Wiadomościach" nr 368 z dnia 19 kwietnia br. p.t. „Stacje miłosnej pomocy" uderza zdolnością pisarską, ale ze smutkiem czytelnik ustala wewnętrzne usposobienie autora apoteozowania błędów i gloryfikowanie słabości ludzkich.

Szanując przekonania obce — nawet uznane za wręcz wrogie i złe — ma się czytelnik prawo domagać, by prawd i świętości chrześcijańskich nie mieszano i by ich nie obryzgiwano patosem zachwytu nad brudem ludzkich słabości, które autor uważa za naturalne dobro i za przejaw człowieczych instynktów oraz za częste źródło literackich utworów.

Matki Boskiej nie wolno wplatać w zdania tego rodzaju artykułów — jak wyżej wspomniany — bez urażenia głębi uczuć milionów wiernych Jej czcicieli. Dla nas, wierzących, jest jasnym, że Matka Boska umie oddźwiękiem Serca swego przejąć całą moc Serca Boskiego swego Syna i otoczyć czułą opieką miłosierdzia słabość ludzką, która wyjdzie z „zaułków", mętów i grozy splugawionej miłości ku światłu łaski i — zrozumiawszy swój upadek — będzie przez Jej pośrednictwo oczyszczona i ukojona.

Matka Miłosierdzia rozdaje swe dary tym, którzy ich szukają. Zespoli jednak sprawiedliwość ze słusznym gniewem na tych, którzy zatracą w sobie wszelkie poczucie tego, co święte, mieszając je z brudem słabości, a idąc tą drogą przyobleką się w najniebezpieczniejszy z kaftanów ochronnych — w cynizm.

Piękne hasło swobody wypowiadania się i tolerancja przekonań stwarza jakąś mieszaninę, w której jest wszystko, a która tym bardziej staje się trująca, bo jest wygodna, liberalna, niewymagająca wysiłku, wprowadza chaos myśli i jest łatwą do przyswojenia dla bezpostaciowych charakterów istot, które nie umieją myśleć poważnie, a cóż dopiero wybrać samodzielnie drogę życia.

Życia, które czym się staje? — Kompromisem, bo to dobrze i wygodnie.

Określenie życia, jako konsekwentnego dążenia do celu wyznaczonego nie przez siebie — wydaje się dzisiejszym ludziom trudnym i nieżyciowym. Dla członka Kościoła Walczącego to właśnie określenie jest zrozumiałe. Dla kompromisowców ten cocktail na łamach pism „bezliniowych" jest szczytem pojmowania postępu, a służy czemu? Kogo wychowuje?

Zgodzimy się, że wolno „Wiadomościom" przyjmować na swe łamy to co chcą, ale też innym wolno określić jako ubieranie w płaszcz obłudy propozycji „Wiadomości", by księża popierali to pismo, gdyż „Kościół popiera kulturę". Tak, Kościół popiera kulturę — ale nie każdą. Chyba nie tę z łamów „Wiadomości".

Ks. Włodzimierz Cieński

LISTY

MOTYWY ARABSKIE W POEZJI ŁOBODOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!

W nrze 12 (300) ŻYCIA w liście do redakcji p. J. Łobodowski pisze m.in.: „Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby p. Śmieja wskazał mi tytuł choćby jednej kasydy lub gazeli „przetłumaczonej" z arabskiego". Nie pomawiałem p. Łobodowskiego o tłumaczenie z arabskiego, natomiast stwierdziłem, że pisząc swoje gazele i kasydy posługiwał się do tego stopnia **hiszpańskimi** przekładami poezji arabskich, że niesposób zgodzić się na „inspirację" czy „naśladownictwo". Nie wiedziałem, jak tego rodzaju zjawisko określić. Może wyrażenie „eklektyczna przeróbka" bliżej by było prawdy. Nie wiem.

Spróbuję zilustrować powyższe określenie na przykładzie „kasydy o czystości". („Wiadomości" nr. 299 - 300).

Pierwszy dwuwiersz brzmi:

Wino sprawiło, że jęły jej ciężyć powieki, rzęs nie mogąc unieść.

A oto urywek z Casida de las Estrellas (ABENHAMI de EIVIRA, + 973):

...el licor hacia pesados sus parpados de abundantes pestańas. (Trunek uczynił ciężkimi jej powieki o obfitych rzęsach).

Nieco dalej Łobodowski pisze:

A było to w godzinie, kiedy chrześcijanie uderzają w wieczorne dzwony.

To brzmi w Visita de la Amada (ABENHAZAM de CORDOBA, 994 — 1063) tak:

Viniste a mi un poco antes de que los cristianos tocasen las campanas (przyszłaś do mnie zanim chrześcijanie uderzyli w dzwony).

Wiersze:

Ach, męczarnio spragnionego wielbłąda,
Gdy mu ssać twarda uzda przeszkadza,
czy
tak o krok od wielbłądzicy czułej,
powstrzymany uzdą z rzemienia...—

są wariantami Castidad (ABENFARACH de JAEN, + 976):

Y asi pasé la noche con ella como el pequeńo camello sediento a quien el bozal... impide mamar (I tak noc z nią spędziłem, jak spragniony młody wielbłąd, któremu uzda ssać przeszkadza).

Łobodowski kończy kasydę trójwierszem:

Tak płomienie krew mi zatruły,
kiedym leżał i usychał z pragnienia,
trzymający dzban z wodą w ramionach.

W ten sposób kończy wiersz Escena de Amor, SAFUAN BEN IDRIS (1165 - 1202):

Maravillate del que siente arder sus entranas y se queja de sed teniendo el agua en la garganta! (Temu się dziw, co mając wodę w gardle czuje palenie wnętrzności i skarży się na pragnienie).

Jeśli dodać inne jeszcze reminiscencje (I przychylna mi byłaś..., trzcino giętkiej kibici..., alem ja się w jej głąb nie zaszył...), warianty i parafrazy (Ach, przekleństwo nieczystych pożądań...), to okazuje się, że zajmują one dziesięć z dwunastu strof wiersza. A nie mam pewności, czy odnalazłem wszystkie źródła.

Z poważaniem **Florian Śmieja**

CONTRA SED CONTRA

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 17 ŻYCIA z dnia 26 kwietnia b.r. O. I. M. Bocheński w artykule p.t. „Demokracja międzynarodowa" postawił tezę, zgodnie z którą powinniśmy, jako Polacy, przyjąć za misję naszego narodu doktrynę demokracji międzynarodowej, którą autor określił jako odrzucenie różnic między narodami i stawanie w obronie uciśnionych (jako przykład podana została sprawa Maroka). M. in. jako uzasadnienie tej tezy zostało wysunięte twierdzenie, jakoby filozofia tomistyczna była podstawą tej doktryny.

Muszę stwierdzić, że jakkolwiek zawsze dotąd byłem pod wrażeniem konsekwentnej logiki O. Bocheńskiego, ten artykuł nasunął mi cały szereg zastrzeżeń. I to zastrzeżeń bardzo zasadniczych. Przede wszystkim: demokracja oznacza rządy ludu. Jeżeli jako podstawę nowej doktryny weźmiemy zasadę braku jakichkolwiek różnic pomiędzy narodami i równość wszystkich ludzi (zapewne bezwzględną), to w rezultacie otrzymamy — rząd międzynarodowego ludu. Nie ma rady, tak to wygląda. Nie sądzę, żeby to właśnie było zamierzeniem znakomitego autora, jednak w skrócie jego artykułu w ten sposób zagadnienie zdaje się rysować.

Następnie: tomizm, o ile moja skromna jego znajomość pozwala mi sądzić, nie zdaje się uczyć o bezwzględnej równości wszystkich ludzi. Równi są wszyscy wobec Boga. Mają równe szanse zbawienia, jeżeli go pragną i wierzą. Poza tym jednak św. Tomasz wcale nie twierdził, że wszyscy są równi pod każdym względem.

To jednak tylko przyczynki do czegoś bardziej zasadniczego. Ośmielę się postawić swoją tezę dla skonfrontowania z tezą znakomitego autora, wierząc, że właśnie ja stoję na stanowisku zgodnym z doktryną św. Tomasza. Proszę o oświecenie mnie, jeśli się mylę.

Ludzie są nierówni. Nie są równi moralnie, umysłowo, fizycznie, wykształceniem, energią. Nie mają równych obowiązków ani przywilejów. Jedni polują przy pomocy zaostrzonego patyka na antylopy i wierzą w złe duchy, inni piszą rozprawy filozoficzne. Jedni idą do kryminału za włamanie, inni umierają za wiarę. Nikt nie robi analfabety ministrem oświaty. Natomiast wszyscy winni mieć równe, prawem zagwarantowane szanse osiągnięcia wszelkich przywilejów, na jakie pozwoli im ich osobisty wysiłek i zdolności, jeśli równocześnie podejmą związane z tymi przywilejami obowiązki.

Narody różnią się między sobą znacznie. Różnią się językiem, tradycją, kulturą, poziomem cywilizacji, poziomem moralności i t.d. Wojowniczy Mau-Mau z Nairobi nie jest zbyt podobny n.p. do beztrosko rozśpiewanego Włocha lub kontemplującego nirwanę Hindusa. Co jest wspólne dla wszystkich narodów, to to, że składają się z ludzi. Nierównych przy swej równości.

Demokracja, w swym oryginalnym znaczeniu oznaczała coś bardzo innego od dzisiejszego rozumienia. Lud, DEMOS, to byli Ateńczycy, czyli pełnoprawni obywatele. Raczej odpowiadałoby to dzisiejszemu pojęciu narodu. Niewolnicy n.p. nie liczyli się w ogóle. A DEMOS rządził też przez wybranych przez siebie przedstawicieli, a nie kolektywnie. Wybierano tych, którzy uważani byli za najlepszych. Przyjmowano więc naturalną nierówność pomiędzy ludźmi.

Jeśli nawet tak pojętą demokrację podstawimy w nasze warunki, to od razu rzuci się w oczy, że nazwa będzie mało trafna. Bo nigdy nie będzie to władza wszystkich obywateli. Będzie to tylko pewien udział wszystkich uprawnionych we władzy, pośrednio przez system wyborczy i parlamentarny. Będzie to raczej społeczna kontrola władzy, niż władza ludu.

Jeżeli ten bardzo ogólny schemat przyjmiemy jako podstawę rozważań, oznaczać to będzie, że uważamy ten system za właściwy i że chcielibyśmy go widzieć we wszystkich krajach. Teraz: jeżeli przekreślimy różnice między narodami i uznamy je za nieistotne, to musimy przyjąć chyba zasadę rządu światowego. Wtedy nie możemy się ujmować ani za Marokańczykami, ani za Polakami, a tylko winniśmy wszystkich podporządkować demokratycznie wybranemu rządowi światowemu. Uwzględniając istnienie (jak dotąd) Rosji, Niemiec, Japonii, czy nawet Anglii lub Stanów Zjednoczonych, wiara w demokratyczność takiego wyboru wydaje się b. dużym optymizmem. Wątpliwe, czy interesy Polaków lub Chińczyków zostałyby wówczas potraktowane obiektywnie.

Jeżeli natomiast mamy stawać w obronie uciśnionych Marokańczyków, to chyba ze względu na to, że pretendują oni do odrębności i niezależności narodowej. Wówczas będziemy popierać nie demokrację i nie międzynarodową, ale po prostu nacjonalizm marokański. Zapewne także wówczas nie będziemy zwalczać naszego własnego.

Wreszcie, jest pytanie, czy niezależność i samostanowienie polityczne jest czymś, co się powinno automatycznie przyznawać każdemu szczepowi czy plemieniu, które tego zapragnie. Nie wydaje się, by Kościół uczył kiedykolwiek takiej doktryny. Także z punktu widzenia filozoficznego wydaje się, że to raczej w miarę dojrzewania cywilizacyjnego narody stają się coraz bardziej dostosowane do samostanowienia o sobie. Historia zdaje się wskazywać, że niepodległość jest zwykle cenną zapłatą za długi, wielopokoleniowy wysiłek pracy i walki, że dla narodu do niej nieprzygotowanego niepodległość może znaczyć wszelkie zło. N.p. Niemcy. Ich niepodległość sprowadziła klęskę na Europę, świat, no i na sam naród niemiecki. Przytoczę tu zdanie z tak bardzo interesującego artykułu ks. Stanisława Bełcha p.t. „Doktryna polityczna św. Tomasza z Akwinu" (nr. 14/15 ŻYCIA z dnia 5. 4. 1953): „Suwerenność nie jest najwyższym walorem ziemskim, lecz takim jest dobro, jakie suwerenność ma dać". Czy, w związku z tym, jest naszym obowiązkiem, czy nawet misją, walczyć o niepodległość Maroka lub n.p. Mau-Mau? Czy to, że nie walczymy o to, przekreśla nasze, wielowiekową walką i pracą uzyskane prawa do niepodległości?

Wydaje mi się, że jedyną naszą misją jako Polaków jest walka i praca w celu odzyskania, utrzymania i umocnienia niepodległości własnej według zasad sprawiedliwości i prawa Bożego. A jedyną misją naszą jako katolików na terenie międzynarodowym jest popieranie sprawiedliwości w stosunkach między narodami. A to nie jest doktryna demokracji międzynarodowej.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Roman Jasieńczyk

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ZGON RACHILDE. Dnia 4 kwietnia zmarła w Paryżu powieściopisarka i publicystka francuska Rachilde. W chwili zgonu liczyła 93 lata, była więc o kilkanaście lat starsza od Colette, która niedawno święciła 80-lecie swych urodzin.

Rachilde związana była blisko z periodykiem literackim „Mercure de France", założonym w końcu XIX w. przez męża jej Alfreda Vallette. Vallette zmarł w r. 1935, pismo jednak nie upadło po jego zgonie i ukazuje się nadal.

W dawnych latach Rachilde znana była ze swej ekscentryczności i „wolnomyślicielstwa" (jeśli wolno użyć tego nieładnego słowa). Lat temu z górą sześćdziesiąt sensację o posmaku skandalu wzbudziła jej powieść „Monsieur Vénus". Za najlepsze jej utwory powieściowe uchodziły jednak „La Tour d'amour" (1899) i „Le Meneur de louves" (1905).

Zmarła w mieszkaniu przy rue Condé, gdzie mieszczą się biura „Mercure de France". Zajmowała się hodowlą myszy, których do śmierci była adoratorką.

„ŚWIAT DWUJĘZYCZNY". W prasie francuskiej coraz żywszą dyskusję wywołuje propaganda, rozwijana przez organizację „Le Monde bilingue", na której czele stoi p. Jean-Marie Bressand. Proponuje on, by nauka języka francuskiego stała się obowiązkowa w całym świecie anglosaskim i odwrotnie, by język angielski był nauczany obowiązkowo we wszystkich krajach francuskich. W innych krajach świata obowiązkowa byłaby nauka albo francuskiego albo angielskiego. W rezultacie cała ludność kuli ziemskiej mogłaby się porozumiewać z mieszkańcami krajów zarówno anglosaskich jak francuskich, a także w dużej ilości wypadków z mieszkańcami innych krajów. Tą drogą zagadnienie języka międzynarodowego — które daremnie usiłowali rozwiązać zwolennicy volapüku czy esperanta — zostałoby doprowadzone do pomyślnego końca.

P. Bressand, który akcję swą na rzecz „świata dwujęzycznego" rozpoczął w październiku 1950 r., chlubi się już wcale poważnymi wynikami. W parlamencie francuskim istnieje już grupa 70 deputowanych i senatorów, popierających tę ideę; jest to Comité d'action parlamentaire du monde bilingue". Na czele jej stoi Paul Reynaud, a w skład jej wchodzi m.i. dziewięciu urzędujących ministrów, w tym minister oświaty André Marie, honorowy prezes ruchu. W Zgromadzeniu Europejskim w Strasburgu wniosek, wypowiadający się za tą ideą, podpisało 60 delegatów, reprezentujących jedenaście krajów.

Sukcesy te wywołały jednak kontrakcję, wychodzącą zwłaszcza z kół pedagogicznych i kulturalnych. Tak np. p. L.-A. Fouret, inspektor generalny wychowania publicznego uważa za zupełną utopię pomysł rzeczywistego przyswojenia sobie przez każde dziecko drugiego języka w tym stopniu, by można było mówić o „dwujęzyczności". Poza tym uważa on za szkodliwe dla interesów Francji ograniczanie się do nauki języka angielskiego. Już obecnie dużo kłopotu sprawia fakt, że na około 600.000 uczniów szkół średnich 590.000 zna poza francuskim tylko język angielski. Powstaje przez to dotkliwy brak ludzi, władających językami niemieckim, hiszpańskim, włoskim i rosyjskim, a także arabskim, który tak jest ważny w wysiłkach w kierunku utrzymania Unii Francuskiej. Dwujęzyczność — oświadczył w konkluzji p. Fouret — doprowadziłaby do tego, że Francja stałaby się „kolonią amerykańską".

Na łamach „Figaro Littéraire" mnożą się głosy, wypowiadające się przeciw idei „monde bilingue". P. Danloux-Dumesnils wypowiada obawę, że z chwilą, kiedy język angielski nabierze we Francji charakteru „oficjalnego", oddziaływać on będzie szkodliwie na czystość języka francuskiego, co w znacznej mierze dzieje się już obecnie. Lenistwo myślowe powoduje, że zamiast poszukać właściwego słowa francuskiego bierze się wyraz angielski, jak w wyrażeniu „le pool charbon - acier": w innych wypadkach w dążeniu do zwięzłości opuszcza się, wzorem języka angielskiego, przyimki, jak w wyrażeniu „le bas nylon". Natomiast ani w Anglii ani w Ameryce nie widać podobnych objawów oddziaływania francuszczyzny na język angielski; nie ma tego ani śladu nawet w Kanadzie, gdzie ludność francuska jest tak liczna.

Do tych uwag dodać można, że jak dotąd idea „świata dwujęzycznego" nie znalazła prawie żadnego echa w prasie brytyjskiej. Na przeszkodzie jej rozpowszechnieniu się stanie wyspiarski izolacjonizm brytyjski, niechętny próbom zbyt daleko idącego wiązania się z kontynentem europejskim w jakiejkolwiek dziedzinie. Poza tym Anglicy i Amerykanie zdają sobie dobrze sprawę z olbrzymich postępów, jakie tak czy inaczej znajomość angielskiego czyni wciąż na całym świecie.

TAJEMNICA BYTU

(Dokończenie ze str. 1)

zdobywa szczytów „za darmo": sport, nieskażony tanią ambicją rekordów, jest zawsze formą wyrzeczenia: materialnej wygody, komfortu za cenę tej dziwnej, tajemniczej radości, jaką daje duch triumfujący. Nie daremnie św. Paweł przyrównuje życie chrześcijanina do sportowych rekordów!

* * *

Zbierzmy konkluzje.

Ani razu nie padło w tym artykule tak modne dziś słowo: egzystencjalizm. Słowo kameleon, pokrywające nader cierpliwie treści odmienne! Istnieje egzystencjalizm ateistyczny: tragiczna „szkoła" Sartre'a. Lecz istnieje również „egzystencjalizm" chrześcijański, którego ojcem i patronem jest św. Augustyn.

Czymżeż jest egzystencjalizm? Próbą rozwiązania problemów bytu i rzeczywistości pozaludzkiej z tej kruchej odskoczni, jaką jest moje własne, konkretne istnienie. Odwracam zasadę Descartes'a. Nie mówię „cogito ergo sum", lecz „sum ergo cogito".

Innym razem wyłożymy blaski i cienie tej filozofii, która jest prądem raczej, niż systemem, bardziej perspektywą niż doktryną. Na razie chodzi nam tylko o pewien komentarz praktyczny, starannie wyłuskany z filozoficznego żargonu.

W epokach odczłowieczenia i kultu materii cenny jest nawrót do tej kardynalnej zasady doświadczenia wewnętrznego, która wyraża się słowem „JESTEM". Afirmacja jednostkowego, konkretnego bytu jest zdrową, konieczną reakcją przeciw mitom, które topią człowieka w anonimowej masie. Egzystencjalizm jest niejako odpowiedzią na kolektywizmy wszelkiej barwy i gatunku.

Czeka go wszakże zaraz na wstępie prometejska próba, staje na rozstajnych drogach. Na jednej stwierdzenie: „jestem" wiedzie w rozpacz i nicość (szkoła Sartre'a). Na drugiej stwierdzenie „jestem" wiedzie ku Temu, który „JEST TYM, KTÓRY JEST".

Przewodnikiem i Wergilim na tej drodze jest doktór z Hippony, jak nigdy aktualny. Temperament filozoficzny skazał go od początku na szukanie klucza do zagadek bytu w głębi własnej duszy. „Wyznania" opowiadają tę odyseję. Lecz na przekór tendencjom modnych dziś egzystencjalistów święty Augustyn szuka we własnym istnieniu dowodu na istnienie Boga. „Jestem" staje się dlań zrozumiałe tylko w Tym, „KTÓRY JEST".

Jeśli własna dusza jest mu odskocznią, Bóg jest niejako duszą jego duszy: „sicut enim tota vita corporis est anima, sic beata vita animae Deus est": „jak dusza jest życiem ciała, tak błogosławionym życiem duszy jest Bóg".

Dusza i Bóg. Dziś powiedziałby może: „ja i Bóg". Sam się spowiada w przejmującym dialogu:

Deum et animam scire cupio
(Chcę poznać Boga i duszę).
Nihil-ne plus? (Nic ponadto?).
Nihil omnino (Absolutnie nic). (Sol. I,7).

Ale te dwa akty poznawcze nie są jednoplanowe. Poznanie własnej duszy — dziś powiedzielibyśmy: samego siebie, jest środkiem i drogą wiodącą do poznania Boga. Stwierdzam, że jestem po to tylko, żeby zrozumieć, że nie jestem sam ze siebie, ale z Boga, który jeden jest.

„Noverim me, noverim te..." (Sol. I. n. 1).

„Daj mi poznać siebie, abym poznał Ciebie..."

W świetle wiekuistego bytu pierzchają jak nietoperze widma imanentyzmu, które myśl współczesna egzorcyzmuje z takim trudem. Święty Augustyn jest nie tylko autorem Solilokwiów, lecz i traktatu De Veritate. Wyprawy odkrywcze w głębokie sztolnie własnej duszy*) kończą się triumfalnym stwierdzeniem Bożej transcendencji: „ubi ergo te inveni, ut discerem te nisi in te supra me" (Kędyż znalazłem Ciebie, bym poznał Cię, jeśli nie w Tobie nade mną?) (Wyznania X. 37).

Jestem — dlatego, że Bóg jest. Bóg jest duszą mojej duszy — dlatego, że Jest sam w sobie. „W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" — dlatego, że jest ponad wszelkim stworzeniem. Droga imanentna — na której tylu współczesnych kark skręciło — wiedzie świętego Augustyna do najwnikliwszego stwierdzenia istotnych dystynkcji między Stwórcą i stworzeniem. Stąpa on na czele niezliczonego orszaku katolickich mistyków, którzy bronią jednomyślnie do upadłego tej prawdy kardynalnej: iż najściślejsze zjednoczenie z Bogiem, dla którego nie szczędzą najśmielszych przyrównań, jak gody weselne i zaślubiny, nie tylko nie niweczy samoistności duszy ludzkiej, lecz wręcz ją utwierdza i krystalizuje. A choćby nawet nie opisywali tych przygód zawrotnych piórem maczanym w siedmiobarwnej tęczy, samym swym życiem świadczą aż nazbyt dowodnie, że Bóg jest artystą rzeźbiącym ich własną osobowość.

„Ktoś kto jest we mnie bardziej mną, niż ja sam"**) daje mi prawo do stwierdzenia: „Jestem".

Transcendencja Boża jest gwarantem mojej własnej imanencji: mówię, mam prawo powiedzieć „jestem" dlatego, że Bóg jest.

„Solidabor in te, Deus meus" — woła święty Augustyn. W Tobie, Boże mój, znajdę utwierdzenie swoje i swój kształt; skrystalizować mnie z płynnej masy mojej znikomości możesz tylko Ty, któryś Jest, któryś mię stworzył **i nazywał po imieniu. Jestem, bo JESTEŚ TY.**

* * *

Zaznaczmy na zakończenie, że kształtujący się powoli chrześcijański egzystencjalizm bynajmniej się nie kłóci z filozofią tradycyjną, „philosophia perennis", tak jak święty Augustyn nie kłóci się z Tomaszem z Akwinu. Gdybyśmy chcieli nadużywać tego brzydkiego słowa, znaleźlibyśmy bardzo wielu „egzystencjalistów" wśród najprawowierniejszych, katolickich mistyków. Św. Jan od Krzyża jest egzystencjalistą, i święta Teresa również... Różnica leży raczej w metodzie i perspektywie, niż w istocie rzeczy. Tomasz z Akwinu „dogadałby się" niewątpliwie z Gabriel Marcelem: toż dla obu punktem wyjścia filozoficznego itinerarium jest nie idea bytu (dlatego tak ich nie cierpią idealiści), lecz byt „jako taki", byt „istniejący". Stwierdzając charakter tajemniczy, niesprowadzalny do logicznych kategorii, niewysłowiony i niewyczerpalny do konkretnego bytu, święty Tomasz otwiera na oścież bramę dla dociekań egzystencjalistów, którzy rezygnują dobrowolnie i świadomie ze scholastycznych metod po to tylko, żeby w samotnych i nieraz ryzykownych wyprawach odkrywczych w głąb samych siebie nauczyć się tak żmudnej dzisiaj odmiany słowa „jestem", które było pierwszym, jakie wymówił pierwszy człowiek, olśniony i triumfujący, w dzień swego stworzenia.

„Noverim me, noverim Te..."

„Daj mi poznać siebie, abym poznał Ciebie".

„JESTEM — BOŚ TY JEST."

Maria Winowska

*) Magna vis est memoriae, magna nimis, Deus meus, penetrale amplum et infinitum. Quis ad fundum eius pervenit? (Conf. L. X. 15). Memoria u Augustyna znaczy tyle co świadomość, psycholog współczesny powiedziałby: moje „ja". „Wielka jest moc mego świata wewnętrznego, nader wielka, Boże mój: przybytek rozległy i nieobeszły: któż zdoła dotrzeć do dna?"

**) Claudel „Sonnets".

TEATR POLSKI NA OBCZYŹNIE

Tradycyjnym zwyczajem odbył się w okresie świąt Wielkiejnocy (w dniach 2 i 3 kwietnia) walny zjazd Artystów Scen Polskich Zagranicą. Był to dziesiąty zjazd aktorów polskich na obczyźnie. Troska o przyszłość teatrów polskich, walczącyh z oraz większymi trudnościami, szczególnie jeśli chodzi o teatry objazdowe, oraz zabiegi o stworzenie Domu Aktora w Londynie — stały się przewodnią ideą zjazdu, wyrażającą się w szeregu przyjętych rezolucji.

W roku sprawozdawczym dały teatry polskie 459 przedstawień w skupiskach polskich na terenie Wielkiej Brytanii, nie licząc widowisk londyńskich. Jest to w stosunku do lat ubiegłych, gdy cyfra przedstawień dochodziła często do 1000, ogromny spadek. Zjawisko to można częściowo wytłumaczyć likwidacją szeregu obozów polskich, częściowo zaś kurczeniem się liczby zawodowo pracujących aktorów. Trudne, wyczerpujące warunki pracy aktora w terenie, zużycie sprzętu teatralnego, przede wszystkim samochodów i skromne możliwości zarobków, zmuszają coraz to większą liczbę aktorów zawodowych do zajmowania się innymi rodzajami pracy.

Podwyższenie cen biletów teatralnych stanie się zatem koniecznością, jeśli teatry nasze mają nadal spełniać swą ważną funkcję kulturalną.

Stworzenie Domu Aktora w Londynie — jako podstawowego warsztatu pracy, ułatwiającego przygotowanie wyjazdów teatralnych w teren — jest pierwszym warunkiem dalszej efektywnej działalności teatrów. Zebrana suma £ 1916.11.9 nie wystarcza na zakup odpowiedniego obiektu. Zjazd wyraził nadzieję, że czynniki społeczne przyjdą ZASP-owi z pomocą w realizacji tego pierwszoplanowego etapu dla podtrzymania kultury narodowej na wygnaniu.

Po sprawozdaniu ustępującego Zarządu, złożonego przez dotychczasowego prezesa ZASP, p. M. Kamińską i po uzyskaniu absolutorium, nastąpiły wybory nowego Zarządu. Prezesem ZASP został wybrany dr L. Kielanowski. Do Zarządu weszli: pp. St. Belski, mgr A. Bielecki, F. Konarski (Ref-Ren), W. Mirecki, Z. Rewkowski, W. Sikorski, St. Szpiganowicz i W. Wojtecki.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres Redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9/34. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leeandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", 22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54, Seehamerstr 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.60 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 1c. Lund Sverige. Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83, East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12 Praed Mews, London, W. 2. Tel · PAD 9734